Cena 10 zł

ŚWIETLICA KRAKOWSKA

dwutygodnik

Nr. 7 | Kraków, 1 kwietnia 1947 r. | Rok III



Praga: widok z nad Wełtawy.

TADEUSZ SOKÓŁ

DO PRZYJACIELA CZECHA

Obu nas chcieli poranić, obu nas chcieli zabić
przyjacielu najbliższy z dalekiej, złotej Pragi.

Ciebie porwano z domu, a mnie z Krzywego Koła
w łapance, której żaden z nas obu ujść nie zdołał.

Gdańsk dachów stromych gotykiem — łąką maków czerwonych
drapieżną obcość wcisnął w nasze bezradne ramiona.

Poznaliśmy się milczeniem, smutkiem dalekim i cichym
śród ludzi mściwych i złych nad polskim, spokojnym Bałtykiem.

Kwitnęły u brzegu fale puszyste jak mieczu kielichy
i mewy wołały ryby bolesnym, ostrym krzykiem.

Wieczór rozwijał chmur żagiel. Płonący słońca statek
gruzem zburzonych fortów tonął za Westerplatte.

W dni ciężkie dzieliłeś ze mną resztki swojego chleba
szepcąc, że trzeba wierzyć, że łatwiej wtedy przetrwać.

Lecz dopełniła się gorycz; pełen odwagi i lęku
cisnąłem pilnik o warsztat, wiedziałem: uciekać! uciekać!

Pisaliśmy do siebie. Wojna miotała nas światem,
ja byłem w Wiedniu, w Konstancy, tyś dowędrował do Aten.

Wróciłem do wolnej, jak ty wróciłeś do swojej „slečnej"
druhu mój, zakochany w wolności mądrej i wiecznej.

JULIUSZ WIRSKI

Uścisnęły się ręce

Wypad naszych wojsk na Zaolzie w roku 1939 był dla każdego Polaka, nawet niezbyt wyrobionego politycznie, zbrodnią przeciw Polsce. Dopiero potem odczuwał ogromną, niezasłużoną krzywdę bratniego narodu.

Dla Czecha był to cios zadany ręką zdrady, w chwili, kiedy cały układ ówczesnych stosunków politycznych ostrzegał, że wszelkie odstępstwo od solidarności z zagrożonymi inwazją niemiecką narodami grozi zagładą temu, kto o tym zapomina.

Zdrada została dokonana. Zagłada zajrzała w oczy obu narodom. Wybawienie w ostatniej już chwili przyszło od strony Związku Radzieckiego, który od lat ostrzegał i usiłował mobilizować narody demokratyczne przeciwko imperializmowi Teutonów.

Dla człowieka myślącego kategoriami logiki i postępu, rola wyzwalająca nie podlegała zakwestionowaniu. Tragizm znajdował się gdzie indziej; w tym mianowicie, że tych myślących „postępowo" ludzi było w Polsce niewiele.

I trzeba było kolosalnych, epokowych przemian, trzeba było katastrofy niemal całej Europy, żeby wreszcie, w dwa lata po wyzwoleniu, liczba umiejących myśleć wzrosła o tyle, że sojusz z Czechosłowacją z dziedziny marzeń przeszedł w świat realizacji. Mówmy jeszcze szczerzej: — trzeba było głębokich przemian w obydwu narodach sąsiedzkich, przemian sięgających nade wszystko w głębokie pokłady wzajemnych zadrażnień i niechęci i docierających do zdrowego instynktu zachowawczego obojga narodów.

Nie była to łatwa praca. Ale wśród narastających wciąż i wciąż przed nami zadań odbyła się jakby na marginesie naszych głównych zainteresowań, a jej końcowy wynik: — układ o wzajemnej przyjaźni i pomocy stał się radosną niespodzianką, przygotowaną może nie w zupełnej tajemnicy, ale też, bez drażniącego w takich wypadkach gadulstwa.

Dzisiaj spotkały się nasze ręce, choć na długo przedtem spotkały się nasze myśli, pragnienia i uczucia.

Trzeba z całym naciskiem podkreślić, że „układ o wzajemnej przyjaźni i pomocy" — ma zupełnie inne znaczenie i treść od podobnych układów, zawieranych przed wojną. Nie wynika on z chwilowych potrzeb obojga narodów, z przemijającej koniunktury politycznej. Nie jest on również jedynie rezultatem pokrewieństwa dwu narodów. Pokrewieństwa nie wystarczają, czego mamy aż nadto dowodów w naszej własnej historii. Kamieniem węgielnym naszej przyjaźni jest przebudowa społeczna oparta na tych samych zasadach zarówno w Czechosłowacji jak i w Polsce. Tam partia komunistyczna nadaje kierunek postępu, nacechowany logiką, żelazną konsekwencją i rzetelnością; u nas Polska Partia Robotnicza w przymierzu z PPS i postępową partią chłopską S. L. zdąża powoli a niezmiennie do podobnych celów. Prawdziwa demokracja demokracja większości doszła do głosu w tych dwu społeczeństwach i tym samym zbudowała pomost między dwoma narodami, pogłębiając przepaść pomiędzy przedstawicielami powalonego faszyzmu i jego mało przewidującymi rzecznikami.

Krótkowzroczna i zbrodnicza polityka imperialistycznych kół Ameryki i Anglii prowadzona cynicznie tuż po wojnie, a demaskowana przez prasę państw demokratycznych ze Związkiem Radzieckim na czele, przyspieszyła ten sojusz i umożliwiła zlekceważenie sporów, które zdawały się długotrwałe i trudne do załatwienia. Zwycięstwo partii komunistycznej w Czechosłowacji położyło bowiem kres harcom nacjonalistów czeskich, którym z radością mogli się przypatrywać jedynie nacjonaliści niemieccy szczęśliwi z każdej kłótni wśród narodów słowiańskich. Zwycięstwo bloku demokratycznego w Polsce gwarantuje również, że drobne i mało istotne nieporozumienia zostaną zlikwidowane w imię wyższych celów, do których przede wszystkim należy trwały pokój, zabezpieczający swobodną budowę nowego ustroju w tej części Europy.

Na okopach wstecznictwa wywieszono czarną chorągiew żałoby, bo w zespole państw demokratycznych wykuto nowe ogniwo łączące, ogniwo nierozerwalne. Ten nowy kościół powszechny ludzkości, jakim jest prawdziwa demokracja, wzbogacił się o dwa zespoły narodowe, które od dawna do niego należały, ale nie miały jeszcze doskonale sharmonizowanego wspólnego języka. Układ o wzajemnej pomocy i przyjaźni pociągnie za sobą szereg innych, jak współpraca kulturalna i wymiana gospodarcza, a szereg tych układów stanie się jakby katedrą nowego wspólnego języka.

Młodzież obydwóch narodów otrzymała dar bezcenny: — przekreślenie wszystkiego, co ją dzieliło, a to dla celów bezpiecznego rozwoju w obliczu ciągle żywego niebezpieczeństwa niemieckiego. Będzie daru tego strzec jak źrenicy oka, będzie pogłębiać tę przyjaźń i pielęgnować nie tylko jako gwaranta wspólnych granic słowiańszczyzny, ale jako gwaranta światowego pokoju, szczęścia i postępu.

Juliusz Wirski

Państwo pruskie nie istnieje

Dekretem wysokich komisarzy mocarstw Wielkiej Trójki został wniesiony na konferencję pokojową projekt zniesienia państwa pruskiego. Ponieważ projekt został podpisany przez wszystkie wysokie strony, nie ma powodu wątpić, że dekret stanie się obowiązującym prawem, a tym samym państwo pruskie przestanie istnieć.

Wśród wielu doniosłych decyzji i osiągnięć aliantów, ta jest jedną z najważniejszych.

W samym centrum Europy istniała organizacja państwowa, w której wszystko służyło wyłącznie celom rabunku słabszych narodów. Samo powstanie państwa pruskiego, marchii Brandenburskiej i Zakonu krzyżackiego miały cechy odrębne niż powstawanie innych państw. Nie mam zamiaru twierdzić, że wojny zaborcze nie towarzyszyły dziejom jakiegokolwiek państwa ówczesnego. Państwo pruskie nie tyle na wojnach wyrosło ile na zdradzie. Znana choćby z „Krzyżaków" Sienkiewicza sprawa Drezdenka, małej mieściny bez znaczenia, posłużyła Krzyżakom do długich procesów w Stolicy Apostolskiej, co w rezultacie dzięki naszej słabości, doprowadziło do utworzenia nowej marchii w dolnym biegu Warty i Noteci. Pokorne prusactwo, gdy chodziło o uzyskanie korzyści, potrafiło oprzeć się papieżowi, jeśli wyrok nie szedł po ich myśli. Tak było z decyzją Stolicy Apostolskiej w sprawie Pomorza, które miało być zwrócone Łokietkowi, a zwrócone nie zostało. Gdzie wystarczało płaszczenie się, przekupstwo, zdrada, tam Zakon powstały na starych ziemiach pruskich (autochtoni zostali wytępieni) płaszczył się, przekupywał, zdradzał; gdzie można było pokazać zbrojną pięść, spadała na głowy słabszych bezlitosnymi ciosami. Utrata Pomorza jest charakterystyczna. Waldemar margrabia brandenburski najeżdża na Pomorze. Łokietek zawiera sojusz z Krzyżakami, których był dobroczyńcą i poleca im wyparcie brandenburczyka. Sojusznik polecenie spełnia, najeźdźcę przepędza, wyrzyna wielką ilość pomorzan, których doprowadza do rozpaczy rabunkami i... dzielnicę zabiera dla siebie. Na tych to, podstępnie zagrabionych terenach powstanie późniejsze państwo pruskie, już w sojuszu z niedawnymi wrogami brandenburczykami i z drugimi rycerzami zakonnymi — Templariuszami.

Będzie się ono powiększać kosztem państw nadbałtyckich i słowiańskich, będzie przechodziło kryzysy, a nawet chwilowe klęski, ale zawsze będzie wierne dwom metodom: siły i zdrady. Klęska Krzyżaków pod Grunwaldem i w późniejszej wojnie wywołanej powstaniem szlachty i chłopów pomorskich była klęską długotrwałą; a jednak wskutek cechującego ich uporu potrafili z lenników stać się niezależnymi książętami, a potem królami. W polityce przewidujący na krótką metę, w wojnie uparci i bezwzględni, w dążeniu do zjednoczenia Niemiec konsekwentni, byli Prusacy, spadkobiercy krzyżactwa, wzorem

państwa stojącego ponad narodem, państwa hegemona, państwa polipa, rosnącego wciąż i wciąż kosztem ludów germańskich i kosztem sąsiadów.

Nienasycona zaborczość pchała ich a z nimi i cały naród niemiecki do nieustannych wojen, z których dwie ostatnie, najstraszniejsze pod względem strat poczynionych, doprowadziły ideę prusactwa do ostatecznej zagłady. Państwo, które poczęło się z pychy i pogardy dla innych, nie mogło się utrzymać inaczej, jak nieprzerwanymi wojnami zwycięskimi; tymczasem o ile nie zabrakło mu wojen, o tyle zabrakło od ćwierćwiecza zwycięstw. Były wygrane bitwy, dziesiątki bitew, zostały przegrane wojny. Z roli hegemona, z roli pysznego narodu, który deptał ze wzgardą wszystkie inne narody, spadły dzisiejsze Niemcy, a właściwie Prusy, jako jawny motor wszystkich poczynań do roli wasala bankrutujących imperializmów anglosaskich. Istotnie nie zaszczytna rola dla narodu, którego hasłem było: „Deutschland über alles". Zwłaszcza, że czasy obecne są twardą szkołą nie tylko dla pokonanych faszystów, ale i dla tej części zwycięzców, która w poparciu Niemiec widziała ratunek dla rozkładającej się własnej mocy. Churchill, czy Truman, obojętne, wcześniej czy później zostaną zmuszeni do zrozumienia, że obrona własnych pozycji polega na lojalnym kompromisie kapitalizmu z demokracją, a nie organizowaniu walki **w każdych okolicznościach przegranej.** Że to zrozumienie zaczyna przenikać nawet do sfer wielkokapitalistycznych, dowodem dekret o zniesieniu państwa pruskiego. Sprawą demokracji, która już po wygranej wojnie tyle pięknych i doniosłych zwycięstw odniosła w walce o pokój i postęp, będzie, by zniesienie państwa pruskiego, symbolu okrucieństwa, zdrady i nieuleczalnej pychy nie pozostało projektem papierowym. Drogą do osiągnięcia istotnego zniesienia państwa pruskiego i jego ducha może być jedynie pogłębienie współpracy pomiędzy narodami demokratycznymi, pogłębianie samej demokracji wśród tych narodów i promieniowanie idei socjalistycznych, idei marksistowskich z coraz większą siłą na całą ludzkość. Jedyna to droga do wyprowadzenia nie tylko Niemiec na szeroki gościniec postępu i odrodzenia moralnego, ale i całego pozostałego świata, ciągle jeszcze tonącego w mrokach antyhumanistycznej postawy wobec własnych ludów i całej ludzkości. **(w. j.)**

PO LIKWIDACJI PRUS



— Nie martw się, Hans. Czy to tak trudno wymyślić inną nazwę?

ANGIELSKI KOMENTARZ



— Co myślisz o sojuszu polsko-czeskim?

— Na razie nic. Jeszcze Schumacher nie wypowiedział się na ten temat...

Literatura - Nauka - Sztuka

HELENA DĘBSKA

Aktualne sprawy literatury czeskiej

Zastanawiając się nad współczesną literaturą czeską należy wziąć pod uwagę także literaturę powstałą wprawdzie jeszcze przed wojną, względnie za „Protektoratu", która jednak pozostaje w związku ze współczesnością w ściślejszym tego słowa znaczeniu, czyli z czasami powojennymi. Literatura czeska poniosła również swoje straty, jakkolwiek nie tak ciężkie jak polska, oraz przez 6 lat nie miała warunków normalnego rozwoju, jakkolwiek ruch wydawniczy nie był tak zakazany jak u nas. Toteż podczas wojny ukazało się wiele czeskich książek, tak wznowień, jak dzieł nowych, niejednokrotnie o wysokiej wartości, zwłaszcza jeśli idzie o autorów młodych i debiutantów. Po wojnie ruch wydawniczy wzmógł się jeszcze bardziej. Zaznaczyć trzeba, że w czeskim syndykacie literatów jest zarejestrowanych około 1200 członków.

Dużą rolę w czeskim życiu kulturalnym odgrywa liczna i będąca na wysokim poziomie pod względem jakościowym literatura polityczna. Jej twórcy z obecnym prezydentem Czechosłowacji *Edwardem Beneszem* na czele to ludzie mający wiele do powiedzenia i umiejący to robić. Pewna część tej literatury oczywiście straci z biegiem czasu swoją aktualność, ale wiele z nich odznacza się wartościami trwałymi. Najważniejsze, że dzieła tego typu są nie tylko wydawane, ale przez czytelników czeskich wprost rozchwytywane i doceniane. Najnowsze dzieła *prez. Benesza „Demokracja dziś i jutro"* oraz *„Sześć lat wygnania"* rozeszły się w ilości ponad 100 tys. egzemplarzy. Popularność ich wśród czytelników bez względu na przekonania polityczne czy przynależność partyjną poświadczają liczne organizowane pod koniec ubiegłego roku ankiety. Świadczy to o dużym wyrobieniu politycznym narodu czechosłowackiego. Z innych autorów w tej dziedzinie należy wymienić *Jana Masaryka, Zdeńka Fierlingera, Clementa Gottwalda* (obecnego premiera), *Zdeńka Nejedlego, Jarosława Stranskiego, Jana Szramka* i in.

Równym zainteresowaniem szerokich kół czytelników cieszy się i poczestne miejsce zajmuje czeska literatura naukowa. Autorzy jej nie są zresztą zamkniętymi w swej specjalności naukowcami, ale przeciwnie, są to ludzie biorący żywy udział w życiu narodu i starający się o to, by nie obniżając poziomu nauki, rozszerzać ją możliwie najpowszechniej. Działają w myśl zasad demokratyzacji wiedzy. I znowu okazuje się, że takie dobre intencje nie idą na marne. W bożenarodzeniowych ankietach na drugim miejscu po prez. Beneszu znalazł się profesor historii literatury *Albert Pražak*, w czasie powstania praskiego w maju 1945 prezes komitetu rewolucyjnego. Popularnością i uznaniem cieszą się jego dzieła z zakresu starej czeskiej literatury i języka. Do naukowców-literatów tego typu należą także b. rektor uniwersytetu Karola w Pradze, biolog *prof. Jan Belehradek*, wybitny fizyk *prof. Arnoszt Kolman* i in.

Podobnie jak i u nas, „znakiem czasów" jest czeska literatura dokumentarna. Tysiące ludzi przeszło przez hitlerowskie więzienia, poniewierkę po całym świecie: nie mogło to pozostać bez śladu w żadnej literaturze a więc i czeskiej. Pisano więc i wyda-

wano (i jeszcze się pisze i wydaje, choć główna fala — zdaje się — już przeszła) pamiętniki, wspomnienia własne i inne utwory osnute na tle wojennych przeżyć. Niestety nie każdy, który przeżywa, umie obserwować, wyciągać należyte wnioski i dobrze pisać. Toteż krytyka czeska skarży się na niski na ogół poziom artystyczny tych utworów. Z całej powodzi literatury tego rodzaju uznano tylko kilka pozycyj za wartościowe i nieprzemijające. Na pierwszym miejscu wśród tych uznanych i przez krytykę czeską i obcą, i przez najszersze rzesze czytelników należy wymienić: książkę notatnik więzionego i straconego przez Niemców dziennikarza komunistycznego *Juliusza Fuczika*, pisaną w więzieniu na Pankracu i wydaną po jego śmierci, pt. *„Reportaż spod szubienicy"*. Wyszła w trzech wydaniach czeskich i jest tłumaczona na kilka języków. Z innych na poziomie jest *„Medycyna na manowcach"* dra *F. Blahy*, świadka w procesie norymberskim, *„W niemieckiej niewoli" Jerzego Benesza*, dzieło zbiorowe *„Oskarżamy"*.

Prawie cała krytyka czeska uskarża się na kryzys poezji, zwłaszcza jeśli idzie o poetów młodych, o talenty nowe. W czasie wojny liryka łatwiej niż proza zmylić mogła cenzurę i z tego okresu można zanotować nie mało wartościowych pozycyj. Żeby wymienić najwybitniejszych: *Franciszek Halas* (obecnie prezes związku literatów), *Jarosław Seifert, Józef Hora, Vladimir Holan, Witezslav Nezwal* i in. Po odzyskaniu niepodległości zdawało się, że liryka zajmie poczesne miejsce we współczesnej literaturze czeskiej. Skończyło się jednak tylko na spontanicznym wybuchu z jednej strony radości z drugiej odpowiednika prozaicznej literatury dokumentarnej — liryki więziennej, obozowej, wojennej. Były i tu pozycje dodatnie, ale to nie mogły być nowe drogi. Wśród młodych poetów, od których można oczekiwać czegoś nowego znajdziemy *Ivana Blatnego, Kamila Bednarza, Franciszka Nechwatala, Jana Pilarza, Wilema Zawadę, Franciszka Hrubina* i innych.

W dziedzinie prozy beletrystycznej i dramatu poniosła literatura czeska tuż przed wojną najcięższą stratę przez przedwczesną śmierć *Karola Czapka*. Był to pisarz na miarę światową. Miejsce jego w literaturze czeskiej pozostało dotąd puste. Przeżyli wojnę i działają dalej inni wybitni pisarze czescy starszego pokolenia: *Iwan Olbracht, Maria Majerova, Maria Pujmanova*, z innych, młodszych, ale czynnych już przed wojną *Egon Hoslovsky, Jerzy Weil*; z młodego pokolenia prozaików, debiutujących na krótko przed wojną najciekawiej przedstawiają się *Jan Drda, autor „Miasteczka na dłoni"* i *„Żywej wody"* oraz nowel i sztuki dramatycznej *„Igraszki z diabłem". Wacław Rzezacz („Świadek", „Czarne światło"* i in.), oraz *Mirosłav Hanusz*.

Wszyscy krytycy jednogłośnie uskarżają się na powojenny kryzys czeskiej sztuki dramatycznej. Ponieważ to samo zachodzi tak u nas jak i w innych krajach, można przypuścić, że jest to zjawisko natury ogólnej i że jak zwykle po każdym kryzysie należy się spodziewać nowych pozytywnych osiągnięć.

Mimo tych skarg i kryzysów literatura ma wszelkie dane dla ciągłego rozwoju. Wspomniany pęd do poważnej literatury polityczno-społecznej i naukowej świadczy o wysokim poziomie kulturalnym stosunkowo niewielkiego liczebnie narodu (niespełna 12 i pół miliona obywateli — a nie brano tu pod uwagę jeszcze literatury słowackiej) to i inne bezsprzeczne jego zalety nie pozwolą na pewno, aby w literaturze pięknej stan niezdecydowania czy szukania nowych dróg trwał zbyt długo. **Helena Dębska**

IVAN OLBRACHT

Proletariuszka Anna

(Fragment powieści)

Anna wyszła.

Nad ranem śnieg przysypał ulicę Jeseniową, ale nie było mrozu, więc długo się nie utrzyma. Anna spieszyła do miasta. Ulotkę „Rudego Prawa" dostała dopiero na czwartej ulicy.

DO ROBOTNIKÓW REPUBLIKI CZESKOSŁOWACKIEJ!

Tak zaczynała się ulotka i już te litery, wielkie i czarne napełniły Annę poczuciem ważności chwili.

ODPOWIEMY STRAJKIEM GENERALNYM!

Annie zakołatało serce. Wśród przelanej robotniczej krwi, była również krew Tonika. Jej rozgorączkowane oczy przebiegały wezwanie komitetu wykonawczego aż do końca.

NA TAKĄ PRZEMOC ODPOWIEDZCIE NAJSILNIEJSZYM PROTESTEM: OGŁOŚCIE OGÓLNY STRAJK PROTESTACYJNY W CAŁEJ REPUBLICE!

Anna wiedziała, co to jest strajk protestacyjny. Serce jej biło uderzeniami młotów.

Wskoczyła do tramwaju i pojechała w stronę Starego Miasta. We wozie ludzie czytali gazety. Ale rozmawiali mniej niż kiedy indziej, a ich milczenie i czoła pochylone nad papierem, wyrażały napięcie dnia. Urzędnicy, jadący rano do biur, pouczani już od tygodnia przez swoje pisma, że komuniści przygotowują w Pradze krwawe rozruchy, przestraszeni pożyczali sobie ulotkę „Rudego Prawa" i myśleli o króliczych futerkach, które chcieli dzieciom kupić na Boże Narodzenie i o amerykańskich piecach dla żony, jeśli im kupiec opuści z miesięcznych rat jeszcze 50 koron. Gdy jechali śródmieściem, Anna nie odwracała oczu od okna, patrząc, czy nie zobaczy robotniczych tłumów albo chociażby grup, któreby jej wskazały kierunek. Ale nie było ich nigdzie. Przyjechali na plac Starego Miasta. Był pusty. Wysiadła tam jednak. Na chodnikach i na jezdni śnieg stajał już na błoto, tylko Jan Hus miał na głowie białą warstewkę a bojownicy husyccy jeszcze śnieg na ramionach. Słotny dzień przypominał miejsce stracenia.

Stamtąd poszła w stronę parlamentu. Ale tam także było pusto, cicho i zimno.

Gdzie jest Tonik? I gdzie go ma szukać? Jej niepokój się wzmagał. Wydało się jej, że już kiedyś w życiu, kiedyś dawno, bardzo dawno, stała tak samo na ulicy bezradna i nie wiedząca, gdzie się zwrócić.

Niespodziewanie usłyszała wesoły głos kobiecy:

— Wyście Andula z Pielgrzymowa, czy nie?

Przed nią stała piękna, smukła dama w selskinowym futrze, uśmiechała się uprzejmie a oczy jej błyszczały.

— Panienka Dadlinka! — rzekła ze zdziwieniem Anna.

I w tym momencie już wiedziała, kiedy to tak bezradna, dawno, nie do wiary dawno, stała na ulicy. — Proszę mi przyprowadzić Rudiego! — powiedziała jej wówczas panienka. — Jeśli go nie będzie tam, to proszę iść tam, a potem jeszcze tam, i tam, i tam... — Ale gdzie dzisiaj Anna będzie szukać Tonika?

— Jak się Anna ma?

— Dziękuję, panienko, dobrze.

— Nie jestem już panną. Nie czytała Anna w gazetach?

— Nie.

— Moim mężem jest pan doktor Urban, dyrektor Banku Przemysłowego.

Pani Dadla uśmiechała się a z kącików jej oczu wyzierała wesołość. Jak gdyby za chwileczkę miała powiedzieć: Nie chcesz kawałka czekolady, Andulo? Ale powiedziała co innego:

— Zna dobrze męża Anny. Mąż Anny jest komunistą?

— Tak.

— No, przecież ja wiem! — roześmiała się Dadlinka do przyjemnego wspomnienia.

Patrzyła chwilę na Annę, oglądając ją z uprzejmym zainteresowaniem, które było Annie nieprzyjemne.

— Nie wygląda Anna dobrze. U nas wyglądała lepiej. Ma Anna rodzinę?

— Tak.

— Ale teraz niech Anna idzie do domu! — rzekła Dadlinka rozkazującym, pewnym siebie tonem, który Anna tak dobrze znała.

W oczach Anny malowało się pytanie.

— Proszę iść! — polecała pani dyrektorowa, nie tracąc uśmiechu na wargach. — I proszę się trzymać blisko męża! Będą do was dziś strzelać.

— Chryste Jezu! — wykrzyknęła w Annie jej wiejskość a dłonie Anny podniosły się ku skroniom. Jej wystraszone oczy z lękiem patrzyły w twarz pięknej pani... Gdzie znajdzie Tonika?

Ale gdy tak Anna na nią patrzyła, uporczywie i ciągle, zaczęła się pię-

kna pani zwolna zmieniać. I już tu nie stała panna Dadlinka z rozkazującymi ruchami, ze śmiechem na ustach i z kawałkiem czekolady w ręce. Tej już dawno nie było. Nie stała tu nawet uprzejma pani, ostrzegająca Annę choćby za cenę zdrady własnego obozu. Przed Anną w dżdżystym powietrzu grudniowego dnia stała zła postać klasowego wroga. Tylko zbyt rozpieszczonego, aby wziął karabin i sam strzelał, tylko zbyt tchórzliwego, aby nawet w tej krwawej chwili nie zagrać roli łaskawego przyjaciela i doradcy. Ale to jest to właśnie leciuchne futerko selskinowe z podszewką z wiśniowego jedwabiu, za które dziś będą do Tonika strzelać! To są właśnie te francuskie pantofelki i jedwabne pończochy, za które się dziś będzie mordować! To jest właśnie ta urocza czapeczka i amerykańskie rękawiczki i kwiatek z barwnego jedwabiu na piersi pani dyrektorowej, za które już wczoraj lała się krew robotnicza! Przez głowę Anny przemknęła się już dawno zapomniana postać sponiewieranej żony murarza, rzucającej pani inżynierowej pod nogi jałmużnę „Czeskiego Serca". Annie się wydało, że oczy pani Dadli są złe a uśmiech ponury.

A wtedy zaczęły się zmieniać i modre oczy Anny. Zniknął z nich lęk i zniknął z nich strach i również one stały się twarde i pałające. Ręce od skroni opadły. I Anna, płowowłosa służąca, stała tu wyprostowana i wielka. A jej usta przedtem nieśmiałe, teraz wyrzekły twardo i wrogo:

— Będziecie do nas strzelać?! My do was także, pani! — I oczy jej rozgorzały.

Odwróciła się i odeszła.

Już wiedziała, gdzie ma iść. Nie za Tonikiem. Między swoich! tam jest także Tonik. Wszystko jedno, czy przy jej boku czy gdzieś za murami domów i za blokami ulic. Wśród swoich! Wśród tych, co jej dali kochanka i męża, dom i dziecko, co z nią byli zawsze, kiedykolwiek jej było źle.

Pójdzie do Kolbenki!

Poszła pewnymi krokami do przystanku tramwajowego, nie dbając o elegancką panią na chodniku, poczerwieniałą z gniewu z iskrzącymi się oczami z oburzenia nad niewdzięcznością, za obrazę, za hardość, nad niesłychanym proletariackim bezwstydem, z jakim się ta służąca odniosła do niej, damy, która z czystej dobroci serca i mimo przyrzeczenia milczenia, danego małżonkowi, chciała ocalić jej i jej mężowi to, co człowiek ma najdroższego: życie.

— Ścierwo! — syknęła za nią pani Dadla.

Anna pojechała do Kolbenki. Nie było już w niej bojaźni, nie było w niej lęku a jej serce było zdecydowane.

Na granicy śródmieścia i Karlina dojrzała pochód robotniczy. Zobaczyła go już z daleka, jak się od niego zaczerniła ulica na horyzoncie.

Serce jej załomotało radością i wzruszeniem.

Tak! To oni! Towarzysze!

Anna wyskoczyła z jadącego tramwaju, w którym mieszczuchy wstawali z ławek i pochylali głowy ku oknom.



MALARSTWO CZESKIE. Pravoslav Kotik: „Piekarze".

Towarzysze idą. Zbliżają się.

To maszeruje ulicami za czerwonym sztandarem proletariacki Żyżków. A z Żyżkowem Karlin i Libeń i Holeszowice i Wysoczany. Masa tysiąca głów, przewalająca się przez miasto. Surowa i milcząca. Czarny hufiec bojowy, który wyrzuciły ze siebie tkalnie i przędzalnie, młyny, piekarnie, stolarnie i tartaki, składy węgla i drzewa, odlewnie, fabryki wagonów, tokarnie, zakłady chemiczne, dworce kolejowe i przedsiębiorstwa transportowe. Robotnicy. Proletariat. Wykorzystywani a przecież ponad żywioły silniejsi straszliwą świadomością gospodarzy świata. Tysiąc razy odparci i na głowę pobici, tysiąc razy wykrwawieni, a jednak na nowo idący do ataku z wiarą w zwycięstwo. Wszyscy ci, których w grudniowy dzień złączyła myśl o nowym porządku i czerwony sztandar przed nimi. Tłum wali przez całą szerokość ulicy a ona kołysze się pod jego nogami, jak rozhuśtany most. Nad głowami tłumu chwieje się światło.

Dzień i świat przybrały nowe kształty.

Naprzeciw pochodu wybiega kobieta. Anna, płowowłosa proletariuszka.

— Czy tu jest Kolbenka? — woła.

— Jest — odpowiada jej ktoś.

Anna usuwa się pod ścianę, tłum przepływa koło niej, tysiące głów ją mijają a ona szuka oczyma.

Wybiega do niej młody chłopiec.

— Anno! — I radośnie ściska jej rękę. Oczy mu płoną. — Ty!?

Jarda Jandak. Pierwszy raz nazwał ją po imieniu.

— Jarusz!

Spłynęli z tłumem a tłum ogarnął ich sobą.

— Gdzie jest Tonik?

— Wysłaliśmy go z kilkoma towarzyszami naprzód. W parlamencie obraduje od rana komitet wykonawczy partii. Idziemy przed parlament.

Masa o tysiącu głów maszeruje przez miasto a gmachy odbrzmiewają odgłosem kroków. Na dachach leży śnieg. Kupcy z brzękiem zapuszczają żaluzje.

Tłum dochodzi do rynku Starego Miasta. Jego krew rozgrzewa bliskość mety. Jego krew, która jest jedyną rzeką. I bliskość mety przyspiesza tętno jego żył. Jego tętno, które jest jedynym werblem w jedynym rytmie. A głowy tysięcy wznoszą się wyżej jak jedna głowa. Krok silniej dudni. Z tysięcy gardeł rozbrzmiewa:

„Precz z tyranami, ze zdrajcami
Niech zginie stary, podły świat!"

Robotniczy hymn, będący teraz bronią zaczepną, huczący straszliwym, groźnym chorałem. Drżą od niego pięćsetletnie mury staromiejskiego rynku, odbijają się od gotyckich rzeźb ratusza i ciosowych kamieni tyńskiej świątyni, i pieśń, zwielokrotniona echem ich dziejów, wzlata po wieżach w górę i potem ze szczytów ich krzyży wystrzela aż ku chmurom, gdzie się przemienia w burzę, w której migocą błyskawice.

Krew naszą długo leją katy,
Wciąż płyną ludu gorzkie łzy.
Nadejdzie jednak dzień zapłaty!
Sędziami wówczas będziem my!"

Czerwony sztandar skręca koło kościoła św. Mikołaja. Ale daleko w tyle w ulicy Celetnej, brzmi jeszcze śpiew: *„...bo na nim robotnicza krew".*

— Towarzyszko! — ktoś pociągnął Annę nieśmiało za rękaw. — Twego męża tu nie ma? Gdzie jest?

Anna nie znała tego szczupłego człowieczka w okularach, ale wydawał się jej podejrzany. Chciała zwrócić na niego uwagę Jardy, ale zorientował się i wmieszał się w ostatni szereg. W ćwierć minuty potem zobaczyła Anna, jak się wysunął z pochodu i znikł szybkimi krokami w bocznej uliczce.

Tłum przeciąga ulicą Kaprową.

Pięćset kroków stąd odbywa się wiec



MALARSTWO CZESKIE.
Vinc. Benesz: „Portret".

robotniczy. Przed parlamentem, na placu z okrągłym kwietnikiem, teraz pokrytym warstwą śniegu, gdzie przed niecałymi dwiema godzinami rozmawiała Anna z panią Dadlą. Plac jest zapełniony tylko do połowy. Są tu smichowskie fabryki, które przybyły przez most z drugiego brzegu Wełtawy. Na tych krańcach jest mało zakładów przemysłowych a główne kadry dopiero nadciągają z dzielnic robotniczych, od Żyżkowa, Libnia i Karlina. Są teraz o pięćset kroków stąd; w ulicy Kaprowej.

Ze schodów przed parlamentem przemawiają. Przemawia staruszek Szturc. który przeszedł przez wszystkie walki robotnicze i przez wiele kryminałów, w sześćdziesiątym drugim roku życia równie zapalony rewolucjonista, jak był w dwudziestym:

— Strajk generalny! To może być jedyna odpowiedź robotników na wczorajszy przelew krwi!

Wrzawa zebranych odpowiada mu zgodą.

Wewnątrz parlamentu, w lokalu klubu poselskiego, odbywa się posiedzenie komitetu wykonawczego partii. Ale jest tu także siła zbrojna. W podjeździe parlamentu, pod ciosowymi arkadami z ozdobą dwu kamiennych lwów, stoi w pełnym uzbrojeniu oddział żandarmerii. We wschodniej części placu ustawiły się szeregi policji i spokojnie czekają. Do jej dowódcy przystępuje drobny człowieczek w okularach, coś mu oznajmia i odchodzi szybkimi krokami.

Teraz tłum na placu zafalował. Nieznacznie i ledwo widocznie. To oznacza oczekiwanie. Nadsłuchuje w napięciu... Od strony placu staromiejskiego jak gdyby śpiew tutaj dochodził.

Mówca wygłasza ze schodów pełne znaczenia słowa. Padają jednak w wilgotną atmosferę i giną w niej, nie dosięgając ludzkich uszu.

Tak, tak, z ulicy Kaprowej brzmi śpiew!

Wszystkie głowy zwracają się w tamtą stronę.

Ulica Kaprowa grzmi śpiewem!

Ulica Kaprowa huczy robotniczą pieśnią!!!

A teraz poczerniała w całej swej szerokości. Maszeruje tu proletariat Wielkiej Pragi! Nad jego głowami powiewa czerwony sztandar! Radośnie bojowa czerwień nad tysiącami głów! Hurra! Jest to wielka chwila.

Chorąży ujął silniej drzewce w rękach i podźwignął wyżej. Chorągiew napina się całą powierzchnią i trzepoce na wietrze. Pierwsze szeregi przyspieszyły kroku. Także Anna i Jarda. Po drodze przepchali się aż do chorążego.

Słuchacze na placu zostawiają mówcę i wybiegają naprzeciwko praskich towarzyszy. Ale w tej chwili uderza także policja. Wyskakuje z ukryć w domach i rozwija się w łańcuch. Wybiega kłusem naprzeciw pochodu a w rękach zaciska pałki. Ma widocznie zamiar nie dopuścić do połączenia się obu tłumów.

Ale policja uderzyła o pięć sekund za późno. Za plecami ma ciżbę, biegnącą z placu, przed sobą napierający tłum z Kaprowej ulicy. Jeszcze sekunda, a już ją ścisnęły dwie ściany ludzkich ciał. Twarze od twarzy dzieli zaledwie odległość piędzi. Masa zakotłowała. Rozległy się pierwsze krzyki. Pierwsze uderzenia łokciami i pięściami. Na głowy spadają pierwsze ciosy. Migają pałki i kije. Skądś doleciał kawałek cegły i policjant chwyta się obiema rękami za twarz. Rozpętuje się masakra.

A nagle: P o k!... P o k! I: P o k!...

To policja dobyła rewolwerów i strzela.

P o k!... P o k! p o k! — p o k! p o k! p o k! p o k!

Ale nie brzmi to wcale tak, żeby się tego człowiek miał bać. Raczej, jak jakiś mało ważny żart. Nie napędza to strachu nawet Annie.

P o k! p o k! p o k!

Widocznie strzelają również i nasi.

P o k! p o k! p o k! p o k!

Czerwony sztandar jakoś się dziwnie zachwiał. Teraz pada powoli na ziemię. Chorąży również pada na ziemię.

Do sztandaru przyskakuje Jarda Jandak i podnosi go wysoko. — Huraa! — krzyczy a oczy wychodzą mu z orbit.

Policjant z odległości pół kroku strzela mu prosto w twarz. Zsiniałego podtrzymuje jeszcze przez moment stłoczona masa. Potem student przewraca się. Pada twarzą w rozmokły śnieg.

Annę tłum wypchnął naprzód. Odepchnął w tył. Dokądś ją poniesiono. I znowu rzucono do przodu.

W pewnej chwili widzi, jak spod kamiennego podniesienia wypadają żandarmi i biegną przez plac z bagnetami na karabinach. Usiłują rozdzielić tłum i część jego wepchać na most. Tam jest utarczka Również i tam strzelają. Biała powierzchnia wyprzątanego placu wciąż to się powiększa, to zmniejsza. Leżą tam na śniegu ranni. Ale Anna nie odczuwa strachu. Ma wrażenie czegoś nierzeczywistego i bardzo dalekiego.

Znowu ją gdzieś unoszą.

A teraz znalazła się w wylocie bocznej uliczki w pośrodku gromady ludzi. Tu już jest swobodniej. Za jej plecami słychać wrzawę i krzyki. Znowu huknęło kilka strzałów.

— Tędy się tam nie dostaniemy! — krzyczy ktoś obok niej. — Przez most Legionów na drugą stronę!

Gromada ludzi biegnie przez puste ulice, Anna z nimi. Potem, zmęczeni, już tylko idą. Przez obojętne miasto i obok ludzi, którzy jeszcze nic nie wiedzą. Ale idą z czołami pochylonymi do przodu i z brwiami zmarszczonymi nad rozgorzałymi oczyma. Jak żołnierze na pozycję.

Szybkimi krokami przeszli przez most i pośpieszają na drugim brzegu z powrotem w stronę parlamentu.

Ulica jest zatłoczona. Zatłoczona tłumem ludzi, kotłującym się koło trzech zatrzymanych wozów tramwajowych. To są towarzysze, których żandarmeria zepchnęła od parlamentu! na most. Wyłączyli prąd i wyciągają z wozów pobladłych policjantów, którzy się tędy chcieli dostać na tyły robotniczego tłumu. Wyrywają im pałki, wywlekają i biją robotniczymi ciosami. Policjanci nawet się nie próbują bronić. Zasłaniają sobie tylko oczy a jeśli który może, to ucieka. Po ziemi walają się hełmy. A ci, którzy tu teraz pędem biegną, ci, wśród których jest także Anna, łapią uciekających i ciskają ich o ściany domów.

Anna zatrzymuje się na środku ulicy.

— Toniku! Towarzyszu Toniku!

Rozpościera ręce.

Tonik trzyma za piersi małego człowieczynę w okularach, który wygląda, jak kiepsko wynagradzany urzędniczyna. Odrzuca go. Niedbale jak gdyby go mierziło użycie przeciw tej kanalii jego siły metalowca.

— Towarzyszko Anno!

Biegnie ku niej.

Gdzieś od Smichowa dochodzi odgłos strzelaniny. Silniejszej niż była tamta, oraz bardziej zwartej. Widocznie strzela wojsko.

— U Ringhofferów strzelają! — ktoś krzyczy.

Tłum biegnie w tamtym kierunku.

Na przodzie Tonik i Anna. Biegną a ulica dudni od ich kroków.

Naprzód! Naprzód!

Biegną a ich ramiona stykają się z sobą.

Naprzód! Naprzód!

Daleko, daleko jest rodzinna wioska Anny z blaszaną gołębicą wzlatującą w świat z dachu, z macierzankowymi miedzami i topolami na krańcach. Daleko, daleko jest kuchnia jaśnie państwa Rubeszów i różowy pokoik Dadli. Na drugim końcu miasta jest ulica Jeseniowa.

Naprzód!

Naprzód, naprzód, Toniku i Anno!

Przełożyła z czeskiego
HELENA GRUSZCZYŃSKA-DUBOWA

*

IVAN OLBRACHT (właściwe nazwisko **Kamil Zeman** ur. 6. I. 1882 — jeden z najwybitniejszych współczesnych pisarzy czeskich. Po studiach prawniczych przechodzi do dziennikarstwa lewicowego (Wiedeń, Praga — socjalistyczne „**Prawo Lidu**", komunistyczne „**Rude Prawo**"). Działalność literacką rozpoczyna w roku 1913 zbiorem nowel pt. „**O złych samotnikach**". Dzieła jego odznaczają się piękną czeszczyzną, niezwykłą wnikliwością psychologiczną, przej-

rzystą budową, śmiałym rysunkiem postaci i wysokiej klasy satyrą. Życiem i twórczością walczy o uświadomienie klasowe, polepszenie doli uciskanych, o nowy porządek społeczny. Słynne są jego reportaże z Rusi Podkarpackiej „Ziemia bez nazwy" 1932 i „Góry i wieki" 1935). Jego powieść „Nikola Szuhaj, rozbójnik" 1933 dostała nagrodę państwową i została przełożona na kilkanaście języków europejskich. W r. 1940 wydał zbiór 20 opowiadań stylizowaną staroczeszczyzną opartych na motywach starych kronik i legend. Wśród utworów, w których atakuje stary porządek społeczny i policyjny reżim, wybitne miejsce zajmuje „Proletariuszka Anna" (1928 i 1946), powieść, której bohaterką jest dziewczyna ze wsi, służąca u praskiej rodziny burżuazyjnych wyzyskiwaczy. Zostawszy żoną uświadomionego komunisty-robotnika, idzie wraz z nim walczyć o nowy ład. Akcja toczy się w czasach rozłamu w czeskiej socjal-demokracji a powieść kończy się grudniowym przewrotem 1920 roku.

JERZY BROSZKIEWICZ

MUZYKA CZESKA

W roku 1620 — po klęsce pod Białą Górą — naród czeski utracił swoją niezależność polityczną. W jakiś czas potem zaczęła zanikać także czeska witalność i niezależność kulturalna, tak, że w ciągu wieku XVII Niemcy zdominowali Czechów nie tylko w sensie politycznym i socjalnym, lecz i w sensie artystycznym. Stosunkowo najintensywniej, z najlepszym skutkiem przeciwstawiła się w sztuce czeska literatura — utrzymała ona do pewnego stopnia swą tematyczną, treściową i formalną niezależność Inne dziedziny sztuki, operujące nie tak konkretnym materiałem ideologicznym, jakim jest słowo, na pewien czas dały się zdominować wpływom włoskim i niemieckim. Myślę tu o plastyce, zaś przede wszystkim o muzyce czeskiej.

Traktując całą sprawę z „muzykalnego" punktu widzenia odkryjemy w historii muzyki europejskiej kilku znakomitych Czechów. A więc: Franciszek Benda, Grzegorz Benda, Jan Stamitz i jego syn, Karol. Okaże się jednak, że kompozytorzy ci reprezentują... sztukę niemiecką. Tak — niemiecka ekspansja kulturalna z kierunkiem na Pragę nie mogła pozostać bez konsekwencji.

Jednak w wieku XVIII następuje pewna poprawa sytuacji. Przede wszystkim kompozytorzy nie emigrują — jak Bendowie czy Stamitzowie — z terenów etnicznie czeskich i ich działalność, mimo ciągłych wpływów niemiecko-włoskiego rodowodu zaczyna formować na owym terenie ośrodki kultury muzycznej. Zarówno ośrodki twórcze, jak wysoko wartościowe centra odbiorców.

Mowa tu przede wszystkim o działalności franciszkanina, Bohuslawa Cernohorskiego, kapelmistrza kościoła św. Jakuba w Pradze. Z czysto muzycznego punktu widzenia jest on artystą pozostającym pod urokiem sztuki włoskiej. Jednak ten fakt, że Cernohorski działał w Pradze zarówno jako twórca, jak jako kapelmistrz i pedagog, ma swoje bardzo konkretne znaczenie dla rozwoju prawdziwie czeskiej kultury muzycznej. Przede wszystkim Cernohorski wychował całą „szkołę" działających na terenie Czech kompozytorów. A chociaż ciągle jeszcze decydowało tu twórcze dyktando Włoch i Niemiec, to jednak stwarzają oni w Czechach szeroką bazę społeczną — tworzą tradycję, podnoszą poziom rzemiosła twórczego, formują ośrodki pedagogiczne, wychowują odbiorcę. Muzyka — począwszy od drugiej połowy XVIII wieku — staje się sztuką cenioną przez najszersze warstwy społeczne.

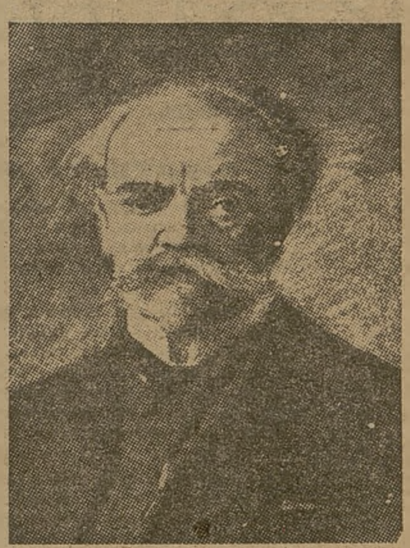
Wreszcie wiek XIX. Tutaj już możemy porzucić podział na muzykę „metrykalnie" i „czysto muzycznie" czeską Praca Cernohorskiego i jego „szkoły" zaczyna wydawać owoce — tworzy się integralnie narodowa czeska muzyka.

Pierwszym zwiastunem tego procesu jest działający w pierwszej połowie XIX wieku Franciszek Skroupa — autor oper i wartościowych pieśni. Jednak dopiero druga połowa owego stulecia staje się czasem rozkwitu metrykalnie i integralnie czeskiej twórczości muzycznej. Zasługa po stronie trzech najwybitniejszych talentów w historii czeskiej muzyki: Bedricha Smetany (1824—1834), Antoniego Dvorzaka (1841—1904) i Leosa Janaczka (1844—1928).

Smetana i Dvorzak reprezentują dwa przeciwstawne sobie ideologie i style, które walczyły o supremację nad muzyką europejską prawie przez całą drugą połowę XIX wieku. Smetana opowiedział się swoją twórczością za neoromantyzmem Liszta i Wagnera, Dvorzak stanął do walki po stronie zwolenników Johanna Brahmsa, wspaniałego neoklasyka.

Dzisiaj już jednak walka ideologii Smetany z ideologią Dvorzaka nie jest istotna. Tym bardziej, że sam Dvorzak w drugiej fazie swej twórczości uległ wpływom romantyzmu. Ważny jest natomiast fakt, który w perspektywie historycznej stawia obu przeciwników obok siebie: otóż Smetana i Dvorzak są twórcami muzyki prawdziwie czeskiej.

Smetana rozpoczął tę pracę pierwszy Wprawdzie w jego fortepianowej i symfonicznej twórczości przebija wyraźny wpływ Franciszka Liszta, to jednak metodyka i rytmika czeskiego folkloru określa już wyraźnie narodowy charakter dzieła. Decydują tu jednak przede wszystkim opery Smetany — w szczególności zaś czarująca komiczna opera pod. tyt. „Sprzedana narzeczona".



Antoni Dvorzak

Twórczość Dvorzaka cechują jeszcze jawniejsze tendencje „unarodowienia" swej twórczości. Można by tu użyć niemalże słowa: egzotyzm. Bardzo często Dvorzak rezygnuje z oparciu w tradycji artystycznej ogólnoeuropejskiej sztuki. Po okresie „klasycznym", w którym chodzi go głównie metafizyczna, abstrakcyjna i czysta problematyka muzycznego dzieła, Dvorzak zwraca się ku romantyzmowi i niemal, że równocześnie zaczyna „oboma garściami" czerpać inwencję wewnętrzną i praktyczną — czyli treściową i formalną — z ludowości. W efekcie nie tylko, że podejmuje pracę Smetany, lecz nawet przewyższa wyniki jego dzieła swoim pędem ku „unarodowieniu" muzyki czeskiej. Tuż za nim kroczą jego uczniowie Viteslaw Novak i Józef Suk — bardziej zachodnio-europejscy, ulegający wpływom francuskiego impresjonizmu, jednak idący po linii ideologicznych wskazań swego mistrza.

Jednak o ile musielibyśmy ustanawiać jakieś hierarchie zasług czy znaczeń historycznych i o ile w sztuce podobne hierarchie są w ogóle dopuszczalne, to pierwsze miejsce w historii muzyki czeskiej należy przyznać Leosowi Janaczkowi.

Był to kompozytor o radykalnych tendencjach twórczych, więc — historia się powtarza — początkowo zapoznany i lekceważony. Jednak odniósł „jeszcze przed grobem zwycięstwo". Jego twórczość operowa (Jenufa, Pasierbica, Chytry lis i in.) doczekała się rehabilitacji i uznania pod koniec wojny światowej. Zresztą nie tylko opery — pieśni, symfonika, twórczość instrumentalna bardzo szybko zostały po tamtej rehabilitacji docenione przez całe społeczeństwo czeskie.

Słusznie Wydaje mi się, że w całej historii muzyki czeskiej Janaczek

(Dokończenie na str. 106)

Życzenia
WESOŁYCH ŚWIĄT
składa Czytelnikom
Redakcja
„Świetlicy Krakowskiej"

KOLUMNA POEZJI

JERZY WOLKER

Twarz za szybą

Kawiarnia „Bellevue", jak pałac z mitu,
zbudowana z muzyki, ciepła, aksamitów,
z okien ma wysokie, przejrzyste granice,
które ją dzielą od zimnej ulicy.

Dziś jak zwykle przy stolikach zasiedli
poważni panowie i panie dostojne,
usta im krasiły uśmiechy spokojne.
W cieple, przy muzyce gwar się w uszy tłoczy,
płachtami wielkimi gazet przysłonili oczy,
i przez okulary z papieru widzieli,
że świat jest wesoły bo i oni weseli

Gdy tak siedzieli tu w cieple czcigodni
stało się na raz — nie całkiem przygodnie —
że do okna szklanego cienkiej granicy
przycisnął twarz człowiek, co stał na ulicy,
na poły mężczyzna, na poły wyrostek
i jak nóż spojrzeniem zimnym i ostrym
przeciął okno i wbił się w tę gromadę
w ciepło, walczyk, lustra, kochanki,
w brzuchy, portfele, napełnione szklanki
i jako żywa w nich pozostał boleść
sztyletem oczu wbitym po rękojeść.

Zmieniły się stoły w nagrobki marmurowe,
zastygli nieruchomo szczęśliwcy się śmiali
śmiechem bezgłośnym, trupim i grobowym.
Wśród nich się kelnerzy w czerni wałęsali
i wieńce im znosili z kurzu szarego,
przed oknem w śniegu i nędzy żyła ulica.
Wyrosła za oknem cisza grobów strzegła
w kawiarni „Bellevue".

(Z czeskiego przełożył Antoni Brosz)

JÓZEF HORA

Promieniu Alkyony mej!

Cmentarne kwiecie opadło
na smutne oczy piewcy ech...
Ach, lat już temu jest niemało,
na głazach się osadził mech,
miłośnic łzy i smutek wdowi
i pyszny pieśniarz — wszystko tam.

Pożółkłą księgę w ręce mam,
ale czas treść wszystkiego mieni.

Ilekroć, wieszczu, żółć z kielicha
pili następcy twoi z winem!
Ilekroć przez ten długi wiek
zesłodła nędza, zmiękła pycha!
Jeno jak dźwięk się kędyś leje,
a gdzie się zwrócić, nie wie cień

Śmierć musi ujrzeć gliny syn,
by wiedział, że jest człek, że dycha.

Szeptałem często NIE jak on!
Ach, jak się chciało wołać TAK!
Jak ciężki był za chlebem gon,
gdy życie przyrzekało: Jutro!
A w jutrznię jeno mętne rano
wylało talerz pełen gwiazd.

W milczeniu była nasza cześć,
nasz brat był czas, nasz brat był wiatr.

Promieniu Alkyony mej!
Ze świata-ś podniósł dłoń ku górze
na błękit twardy a niewinny,
gdzie Bóg twej matki niemo trwa
Chwilę iść tylko po lazurze,
abyś uwierzyć mógł we świat!

Sekundę jedną, potem wstecz,
by mierzwa błysła w pączek róży.

To była śmierć i gwiazdy świt.
A po nim długie dziękczynienie
za prawo na ten w nędzy byt,
jak syn swej matki, swego pnia.
Godziny mkną, a każda rani...
Lecz wlewa balsam do twych ran!

I wiernie — chociaż krew u stóp —
ku tej ostatniej idziesz — rannej!

(Z czeskiego przełożył Zdzisław Jerzy Kempf)

JANKO JESENSKY

Skrzydła

Znów pod świeżym ścieżką baldachimem
śliw, co otwarły go, gdy rozkwitały.
Śnieg sypał kwiat,
kwiat sypał śnieg swój biały,
a ja wesoło szedłem przez ścieżynę
wciąż przydeptując jej tren miękki kwieciem.

To kwiecień starca grzał.
Starzec się śmiał jak dziecię.
Ach, skrzydła zaraz uczułem w ramionach.
Więc w górę skok
i oto myśl, że lecę.
Kwiatem białą, giętką gałąź przecież
uchwyciłem w żądnych, głodnych dłoniach.
Ku ziemi znowu za sobą ściągnąłem.
W kwiaty jej chciwie schyliłem się tu, w dole

Chcę nad ziemią się wznosić każde piękno.
Chce piękna człowiek.
Myśli, że ma skrzydła.
Ta gałąź zgięta wymknęła się z rąk
i lecąc w górę po twarzy mnie śmigła.
I myśli ulecą.
I serca mkną.
Tylko ręce ku niebu jak szkielet skrzydeł drżą.

(Ze słowackiego przełożył Witold Zechenter)

JAROSLAV SEIFERT

Stara książka

I była bitwa tam i tam,
jeszcze mam pamięć żywą,
jeszcze wyciągam w duchu dłoń
ku książce tej sędziwej.

Miana cezarów w książce tej
w duchu odczytam głośno,
nad rządki latopisów w niej
pisałem wiersz o wiośnie.

Bez liku padli. Każdy z nich
z ojczyzny mari imieniem,
a my czytaliśmy tę wieść
zimno i bez wzruszenia

Król przybył, walczył, potem padł
na głowie strusie pióra...
A ten kwiatami pachniał sad,
czekałeś trubadura.

Wojny i bitwy, martwy król
tego i tego roku —
lecz nie martwiłem się tym nic,
gdym kroczył przy twym boku.

Tę miłość dawno rozwiał czas,
już do mnie nie należy,
niestety martwy czeski król
do dziś tam jeszcze leży.

Dziś jest tak bliski, jakby już
przede mną leżał z koniem,
jakby się lała krew na rym
który dziś piszę o nim

(Z czeskiego przełożył Zdzisław Jerzy Kempf)

CZECHOSŁOWACKIEJ

S. K. NEUMANN

Do wschodu

Im dalej na wschód — tym jesteś powabniejsza,
jak z klatki ptak człowiek wylata z Czech,
im dalej na wschód — tym jesteś cudowniejsza,
masz bardziej złote serce, czystszy dech,
dla ciężkiej głowy naszej wyższy mech.

Im dalej na wschód — tym jesteś nędzniejsza,
ogromne góry, jeszcze większy głód,
myślą — modlitwą brzmi wkrąg: chleba powszedniego!
Ku głuchym cieniom, nad żałością strzech,
gdzie nikt nie wzbrania się położyć w grób.

A jednak, ziemio moja, pod butami,
tych serc nie czulszych od twego kamienia,
im dalej na wschód — tym mniej jesteśmy sami
z swą nędzą... A z tymi gorzknącymi mgłami
zbliża się światło, znak i wzór.

(Z czeskiego przełożył Zdzisław Jerzy Kempf)

MASZA HALAMOVA

Ruszyły lody

Ciężko się w górach
wiosna rodzi,
na południu różowy
maj już chodzi,
zakwitły jabłonie,
ziemia pachnie słodyczą
i młode słońce śmieje się nad polem —
a u nas mróz lodem ściska
wody Zielonego Stawu.
Nagie skaliska,
pod nimi mokre igliwie,
tylko tu — tam krokus liliowy
wychynie główką lękliwie.

Potem z wiatrem
ruszają i lody,
jodle kwitną młode
wiosna nadchodzi.
Człowiek tu w górach
wdzięczny jest za dar najmniej
Za jodłę rozkwitłą,
kamień słońcem nagrzany,
za uśmiech pierwszy,
co się w jarnym niebie traci.
W górach skąpych i biednych
ludzi miłość bogaci.

(Ze słowackiego przełożył Antoni Brosz)

FRANIA SZRAMEK

Grudzień

Pójdę po śniegu czystej bieli
z dzwonkową w sercu grą.
Świąteczna ziemia jest mym celem...
Aż gwiazdy wypłyną —
Tu będę blisko już. A będę jeszcze bliżej
gdy leśną pójdę ćmą.

I ścichnę tak jak gęśle śpiące
i mały nagle i dziecinny
baranią czapkę gniotąc w rączce,
w karczowisk ciszę wczarowany —
Tu będę blisko już. A będę jeszcze bliżej,
gdy przejdę łez swych nurt wezbrany.

Spokój owionie mnie jak z żłobu,
gdzie wół i osioł klękają,
ujrzę światełek moc przed sobą,
modra noc załka szałamają —
Tu będę blisko już. Ach, jestem już tak blisko,
chybaż pasterze mnie poznają...

(Z czeskiego przełożył Zdzisław Jerzy Kempf)

JAN KOSTRA

Westchnienie

Tak mało trzeba do szczęścia, haust wina.
myśl z książki, która nieraz jest zaczynem
zbawczej przemiany. Garstka drogich rzeczy
przyjazne słowo, które smutek leczy,
jeden uścisk dłoni, dymek z papierosa,
lekkie muśnięcie rozwichrzonych włosów
może dać radość, subtelne wzruszenie
jednak wciąż coraz większe chwyta nas zwątpienie
Tak mało starczy a jednak zbyt wiele
wszyscyśmy pod słońcem dzisiaj znędznieli.

(Ze słowackiego przełożył Antoni Brosz)

FRANCISZEK HALAS

Żołnierz

Przycupnął zając, w uszy nastroszone
chłonąc różowy wiatr.
Bez tchu zamarła kraina umęczona.
A żołnierz stał.

Niepotrzebny już żołnierz, na stoku
rozścielonym w tło jesiennych barw.
Posypało się krakanie wokół.
A żołnierz stał.

Kuropatwa spała już w bruździe,
czarny mrok jakby wodę ssał.
Szli uchodźcy — dokąd? ach, któż wie
A żołnierz stał.

Niepotrzebny już żołnierz, w krainie,
którą ktoś mu oto z rąk rwał.
Dzieci pytały: kto winien?
A żołnierz stał.

Ostatni skowronek pił blask,
blask, którego mrok nie uśmierzy.
Każdy z was, każdy z nas,
niech zrozumie ból tego żołnierza.

(Z czeskiego przełożył Adam Włodek)

IVAN BLATNY

Czekam...

(Fragment poematu)

Czekam na moją matkę —
śmierć.
Ociąga się jeszcze gdzieś w ulicy.
Ociąga się przed domem.
I rzeczy na stole są już jej pełne.
I rzeczy na stole są już jej pełne:
Papiery, książki, dzban.
Czekam na moją matkę —
śmierć.
Przychodzi pocichu, sypie się jak proch
Niewidzialna, ale jest tu.
Leżących od pierwszego nalotu.
Słyszę ją, stąpa dołem w gruzach.
Niedziela rano. Strzelają armaty.
Jakaś harmonijka obwołuje wiosnę,
Jakaś harmonijka obwołuje wiosnę
przez korytarz, na dworzec.
W tyle na płocie drze się kogut.
Czekam na moją matkę —
śmierć.
Czytam z rzeczy na stole... Sen.
Litość go przywołała. (Albertynko, Ty)
Lecz Europa wybiera się w drogę.

(4. III. 1945)

(Z czeskiego przełożył Roman Artymowski)

(Dokończenie ze str. 103)

nie tylko reprezentuje najwyższy wewnętrzny temperament twórczy, samodzielność wyrazu, własność inwencji i pracy formalnej, lecz że jest on równocześnie najbardziej czeskim Czechem całej tej historii. Że pracując nad swym dziełem sztuki pracował równocześnie nad tym, by artyzm ludu czeskiego znalazł swoje miejsce w ogólno europejskim rozwoju muzyki.

Ci trzej kompozytorzy stworzyli właściwą tradycję twórczą. Równocześnie społeczeństwo czeskie należy do najbardziej muzycznie kulturalnych społeczeństw na świecie. Nic też dziwnego że muzycy tego narodu i w XX wieku zajmują „wysoko notowaną" pozycje na europejskiej giełdzie kompozytorskich talentów. Takie nazwiska jak Ernst Kranek, Alos Haba czy Bohusław Martinu, są nazwiskami członków twórczej czołówki w nowoczesnej muzyce światowej, reprezentując wielorakie — od najradykalniejszych do eklektycznych — ideologie twórcze. Muzyka czeska przeżywa, podobnie jak polska, czas swego renesansu.

Jerzy Broszkiewicz

Z TAŃCEM I PIOSENKĄ PRZEZ ULICE MIASTA



Mieszkańcy Czechosłowacji są szczególnie przywiązani do swych tańców i pieśni ludowych. Oto grupa młodzieży czeskiej w malowniczych strojach ludowych w pochodzie przez ulice Pragi.

PROF. DR STANISŁAW SKOWRON

Człowiek i świat zwierząt

Gdy wielki przyrodnik szwedzki **Linneusz** zajął się systematycznym uporządkowaniem czyli zgrupowaniem razem podobnych do siebie zwierząt i roślin, nikt jeszcze nie myślał o ewolucji. Oczywiście i Linneusz był głęboko przeświadczony, że wszystkie gatunki zwierząt i roślin istnieją w niezmiennej postaci. Jeżeli więc grupował podobne istoty razem, to wyłącznie z myślą ułatwienia ich klasyfikacji i nie przypisywał dostrzeganym podobieństwom jakiejś głębszej przyrodniczo treści. Człowiek zdaniem ówczesnego świata uczonych zajmuje zupełnie odrębne stanowisko. Niemniej jednak, chociaż wierzono, że duchowo nic go nie łączy z resztą zwierząt, dostrzegano wyraźne podobieństwa pomiędzy nim a światem zwierzęcym. Według zasad systematyki zoologicznej możemy rozdzielić sobie zwierzęta na t. zw. typy. Ślimaki i ośmiornice zaliczamy do typu mięczaków, tasiemca do typu robaków, rybę, żabę, jaszczurkę, wronę i psa do typu kręgowców. Niewątpliwie i człowiek z budowy swej należy do typu kręgowców Posiada bowiem szkielet osiowy biegnący wzdłuż ciała i złożony z kręgów, jego system nerwowy ośrodkowy tworzy prócz mózgu rdzeń kręgowy zakryty w łukach kręgów. Lecz co więcej, człowieka nie tylko musimy zaliczyć do kręgowców, ale nawet włączyć go do jednej określonej gromady tych istot, a mianowicie do ssaków. Podobnie bowiem jak wszystkie inne ssaki, jak koń, mysz, kot królik i człowiek jest istotą posiadającą stałą ciepłotę ciała, uwłosienie i odżywia swe potomstwo mlekiem matki, jako pierwszym pokarmem. Oczywiście, że anatom i laik znajdzie różnice w budowie różnych narządów i ukształtowaniu proporcji ciała pomiędzy człowiekiem, a innymi ssakami. Ale nie zapominajmy, że podobne różnice istnieją nie tylko pomiędzy człowiekiem, a zwierzętami ssącymi, ale także i między różnymi zwierzętami ssącymi, między koniem i psem, między kotem i myszą. Przyrodnicy od dawna zauważyli, że wśród wszystkich zwierząt ssących jedna grupa wykazuje szczególnie wiele podobieństwa z człowiekiem. Tymi ssakami są małpy, a szczególnie te z nich, które nawet określamy mianem małp człekokształtnych, zaznaczając w samej już nazwie ich wielkie podobieństwo do człowieka. Nic dziwnego, że w wielu dawniejszych opisach uważano niektóre małpy człekokształtne za jakichś pierwotnych ludzi, żyjących w głębi dżungli Afryki lub archipelagu malajskiego. Tak np. w V wieku przed Chrystusem kartagiński admirał Hanno w czasie swej wyprawy odkrywczej i kolonizacyjnej do wybrzeży zachodniej Afryki opisuje o zetknięciu się z żyjącymi na wyspie dzikimi ludźmi porosłymi gęstym włosem, których inni mieszkańcy nazywali gorylami. Kartagińczycy nie mogli schwytać żadnego z mężczyzn, uprowadzili tylko trzy kobiety, które jednak broniły się zębami tak zaciekle, że musiano je zabić i tylko ich skóry przywieziono do Kartaginy. Opierając się jednak na tym opisie nie możemy być zupełnie pewni, czy rzeczywiście chodziło tu o goryla, raczej może owymi dzikimi ludźmi były szympanse, czyli drugi rodzaj małp człekokształtnych znanych nam z Afryki. Nie o to jednak chodzi. Nas zajmuje głównie podobieństwo owych małp człekokształtnych do człowieka, dzięki któremu powstało tyle opowieści o pierwotnych szczepach ludzkich. Podobieństwo to ma dla nas dzisiaj głębsze znaczenie. Jeżeli na podstawie podobieństwa dostrzeganego między różnymi osobnikami wnosimy o ich przynależności do jednej rodziny, czyli o wspólnocie ich pochodzenia, to oczywiście widząc tak wybitne podobieństwo między budową człowieka a małpami człekokształtnymi, musimy je tłumaczyć w podobny sposób. Podobieństwo nie jest rzeczą przypadku, jakimś szczególnym zbiegiem okoliczności, gdyż przejawia się nie tylko w tysiącznych cechach budowy, ale i w innych właściwościach odnoszących się do rozwoju, czynności chemizmu, a nawet psychiki. Najbardziej może frapującymi są podobieństwa w rozwoju zarodkowym. W przeciwieństwie do cech występujących później w rozwoju osobnika, cechy zarodkowe są o wiele bardziej konserwatywne i dlatego śledząc dokładnie poszczególne etapy kształtowania się zarodka ludzkiego widzimy jakby zachowany w wielu szczegółach, nasz rozwój ewolucyjny. W młodziutkich zarodkach człowieka znajdujemy np. zawiązki łuków i szpar skrzelowych, świadczące o jakichś bardzo odległych przodkach oddychających za pomocą skrzel, a więc pędzących wodny tryb życia. Znajdujemy zawiązek ogona.

znajdujemy wreszcie włosy pokrywające całe nasze ciało w pewnym stadium naszego rozwoju płodowego. Nie tylko więc budowa, ale i rozwój nasz zaprzeczają naszemu odrębnemu stanowisku i zauważone podobieństwa między nami a światem zwierzęcym można tylko logicznie wyjaśnić przyjmując, iż ród nasz wziął początek z przodków zwierzęcych. Ze wszystkich jednak zwierząt dziś żyjących najwięcej zbliżamy się do wspomnianych już małp człekokształtnych, a przede wszystkim do afrykańskiego goryla i szympansa. Podam jeszcze dwa przykłady niezmiernie ciekawe i pouczające. Jeżelibyśmy badali wrażliwość smakową różnych ludzi na pewien związek chemiczny, który chemik nazwie fenylo-tiomocznikiem, to okaże się, że mniej więcej 3/4 badanych osobników wyczuwa gorzki smak tego połączenia w bardzo nawet znacznym rozcieńczeniu, podczas gdy 1/4 nie odczuje gorzkiego smaku. Że tak jest, a nie inaczej, że 3/4 ludzi wyczuwa smak fenylotiomocznika, a 1/4 nie, to wynika to ze sposobu dziedziczenia się tej cechy według ogólnie obowiązujących praw dziedziczenia. Dla nas najciekawszym jest fakt, że podobnie zachowują się i przebadane w tym kierunku małpy człekokształtne, a mianowicie szympanse i orangutany. I u tych zwierząt jedne wyczuwają smak fenylo-tiomocznika i gwałtownie nań reagują, podczas gdy inne piją obojętnie wodę z dodatkiem tego chemicznego związku. Co więcej, podobnie jak i u człowieka, 3/4 małp reaguje na fenylo-tiomocznik a 1/4 nie. Okazuje się więc, że nawet w cesze dziedzicznej tak obojętnej i mało ważnej istnieje zupełna zgodność między nami, a wyższymi małpami. A wreszcie chemizm białek. Za pomocą specjalnych metod laboratoryjnych zbadano, że białko ludzkie różni się od białka konia, owcy czy krowy. Każdy gatunek zwierzęcy, czy roślinny ma, jak mówimy, swoje specyficzne białko, odrębne od białek innych gatunków. Uczeni stosując odpowiednią technikę badania potrafili jednak nie tylko wykazać różnicę pomiędzy białkami, lecz także określić stopień podobieństwa w budowie poszczególnych rodzajów białek. I cóż się wówczas okazało? Białko ludzkie różni się od białka zwierzęcego, lecz ze wszystkich białek zwierzęcych właśnie białko małp człekokształtnych wykazuje z naszym białkiem największe podobieństwo. Określając chemiczne pokrewieństwo można było nawet obiektywnie stwierdzić, że małpy niższe są bardziej różne od wyższych niż te ostatnie od ludzi. Jeżeli więc różne gałęzie nauk przyrodniczych, a więc anatomia, badająca budowę, nauka o rozwoju zarodkowym i chemia stwierdzają tak wielką zgodność pomiędzy człowiekiem a małpami człekokształtnymi, nie możemy inaczej tłumaczyć sobie tego faktu, jak tylko wzajemnym pokrewieństwem pomiędzy rodem ludzkim, a owymi najwyższymi małpami. Także jeżeli chodzi o naukę badającą przejawy życia psychicznego, jej wyniki, pozostają też zgodne z tym, cośmy dotychczas powiedzieli. Okazuje się bowiem, że pod względem rozwoju psychicznego małpy człekokształtne osiągają w świecie zwierzęcym najwyższy poziom. Doskonały nasz badacz psychiki zwierząt **Dembowski** tak kończy swoją ostatnią książkę: „Człowiek jest wytworem ewolucji, zarówno w budowie swego ciała jak w jego składzie chemicznym, czynnościach fizjologicznych i czynnościach psychicznych posiada on wiele cech zwierzęcych. Późniejsza ewolucja poszła odmiennymi i swoistymi drogami. Mówiąc jednak słowami Darwina, nie zmienia to w niczym faktu, że mimo całą odrębność i swoistość natury ludzkiej, człowiek do dziś dnia zachował nie dające się zmazać piętno swego zwierzęcego pochodzenia".

Nie chciałbym aby Czytelnicy źle mnie zrozumieli. W niniejszym artykule starałem się zgodnie ze zdaniem ogółu przyrodników wykazać, że ród ludzki rozwinął się ze zwierzęcych przodków i że w dzisiejszej formie jesteśmy najbliżej spokrewnieni z małpami człekokształtnymi. Nikt jednak z biologów nie twierdził, ani nie twierdzi, że człowiek, rozwinął się bezpośrednio z goryla, szympansa, czy orangutana. Zwierzęta te bowiem są podobnie jak i my wytworem ewolucji, która u nich poszła innym, mniej udanym torem, aniżeli w naszym rodzie. Zwierzęta te są wyspecjalizowane w jednym kierunku. Przystosowane do życia w gąszczach tropikalnego lasu, są właściwie skazane na zagładę i bytują jeszcze dzięki specjalnej nad nimi ochronie. Człowiek natomiast rozprzestrzenił się po całym globie i może żyć w różnych warunkach i w różnych szerokościach geograficznych.

Przy omawianiu zagadnień ewolucji musimy o tym pamiętać i unikać niesłusznego upraszczania tez ewolucyjnych. Jeżeli więc słyszymy zdanie, że według teorii ewolucyjnej człowiek pochodzi od małpy, to małpa ta nie była małpą dzisiejszą. Nie był nią ani goryl, ani szympans, ani żaden inny żyjący po dziś dzień gatunek. Teoria ewolucji od swych pierwszych początków była gwałtownie zwalczana szczególnie jeżeli wchodzi w grę zwierzęce pochodzenie człowieka. Szczególnie silne i nie przebierające w środkach były ataki skierowane przez koła nic z prawdziwą nauką nie mające wspólnego. Nie pomogły jednak ani zakazy głoszenia myśli ewolucyjnej ani drwiny i kpiny z jej głównych założeń.

Dzisiaj ogół pogodził się z naszym pochodzeniem, a że się to stało, zawdzięczamy nie tylko doświadczalnemu udowodnieniu słuszności ewolucji, ale także i odkryciom wykopaliskowym. Dzięki nim możemy już dzisiaj odtworzyć sobie główne rysy ewolucji rodu ludzkiego wiodące od naszych zwierzęcych przodków po przez liczne stadia przejściowe aż do żyjącego dzisiaj człowieka.

Prof. dr Stanisław Skowron

Z teatrów krakowskich

Teatr Miejski im. J. Słowackiego: „Chory z urojenia" Moliera

Medycyna i lekarze to dziedzina, nad którą Molier znęcał się bodaj najczęściej. Sam słabowity, stale zagrożony chorobą płuc, miał dużo sposobności do poznania tego osobliwego środowiska. Doświadczenia swego użył jako narzędzia demaskującego i ośmieszającego niedołęstwo ówczesnej medycyny i obłudną wszechwiedzę jej kapłanów. Trudno znaleźć sztukę, w której by oszczędził sobie chociaż jednego jadowitego słówka na ten temat. Jego kpiny, dziś budzące tylko beztroską wesołość, miały ówcześnie daleko ważniejszą rolę, społeczną — jeśliby tylko zacytować znane powiedzenie, iż Molier swymi żartami z puszczania krwi większej ilości ludzi ocalił życie, niż Jenner wynalazkiem szczepienia ospy.

„Chory z urojenia", komedia napisana już na progu śmierci przez schorowanego i udręczonego trudnym życiem Moliera, jest jak gdyby ostatecznym streszczeniem i dopowiedzeniem wszystkiego, co chciał powiedzieć o chorych i ich lekarzach. W bezlitosnym ośmieszaniu każdy środek literacki był dla niego dobry. W sztuce tej satyra poparta przenikliwą znajomością psychologii spotyka się z niewybrednym, soczystym żartem.

Pracowicie eksploatowany przez lekarzy, w istocie zdrów jak ryba Argan, pragnie wydać swą córkę za świeżo upieczonego adepta wiedzy medycznej, nie bacząc, że serce córki już jest zajęte, a wyłącznie dlatego, aby mieć pod ręką stałą opiekę lekarską. Konflikt jest bliski przykrego zakończenia, ale miejmy zaufanie do Moliera, który zawsze bierze stronę młodości i uczucia przeciw starości i wyrachowaniu. Wystarczy przecież podsunąć Arganowi myśl, że gdyby sam został lekarzem, mógłby najskuteczniej czuwać nad swym cennym zdrowiem. Argan z łatwością ulega argumentacji przemawiającej do jego snobizmu i skąpstwa i oto jesteśmy świadkami przezabawnej habilitacji, na której okazuje się, że jako nowy kandydat posiada dostatecznie dużą wiedzę, aby dostać kapelusz doktora.

Teatr im. J. Słowackiego dał wi-

CZY JESTEŚ SŁUCHACZEM RADIOWEGO UNIWERSYTETU LUDOWEGO?

WYKŁADY ODBYWAJĄ SIĘ W PONIEDZIAŁKI, WTORKI, ŚRODY I PIĄTKI OD 21.45 DO 22.00.

dowisko bardzo udane, bo wesołe i z dobrym tempem akcji. Niespodzianką był dowcipny prolog pióra St. Flukowskiego. Fertner doskonały, z każdego słowa i gestu wydobywał maksimum komizmu. Argan w jego ujęciu to staruszek nie tyle demoniczny, ile śmieszny i głupi. Inni wykonawcy jak Żmijewska w roli złej macochy, Ruszkowski jako doktór Biegunka — bardzo trafni w charakterystycznym typie gry. Matusiakówna w roli pokojówki Antosi, na której spoczywa cały ciężar intrygi komediowej, grała ze zmiennym raczej szczęściem. Szyszko-Bohusz reprezentowała umiar i wdzięk. Natomiast jej zalotnik (ten ze wzajemnością) nie bardzo się udał. Nic jednak dziwnego: któż ubrany tak pstrokato (fioletowy kaftan, białe pończochy, żółta peruka, czerwony kapelusz z zielonymi piórami) nie czułby się trochę nieswojo?

Wisława Szymborska

INSCENIZACJE, TAŃCE i PIOSENKI

ZOFIA KARAŚ

WSPÓLNY CEL

Obrazek sceniczny w jednej odsłonie

OSOBY:

KRYSTYNA,
MARTINEK — jej syn,
JAKUB — jej brat,
WIĘZIEŃ I,
WIĘZIEŃ II.

Scena przedstawia wnętrze czystego pokoiku w małym domku czeskim w Sudetach. W głębi drzwi wejściowe z prawej do wnętrza domu, z lewej okno zawieszone białą firanką. Przy oknie siedzi młoda jeszcze kobieta cerując dziecinne ubranko. Odkłada robotę, patrzy chwilę w okno, potem zakrywa twarz rękami. Drzwi z prawej otwierają się, wpada mały, dziesięcioletni chłopiec, przebiega z hałasem przez pokój, potem spostrzegając matkę zatrzymuje się i zbliża powoli, na palcach.

MARTINEK: Mamusiu co ci się stało — Czemu znowu płaczesz?" — Mamo.

KRYSTYNA: Nic, synku, nic. Idź się bawić. Przecież wuj Jakub zrobił ci taką ładną strzelbę. Dlaczego nie bawisz się z innymi dziećmi?

MARTINEK: Nie chcę się z nimi bawić. Bo oni to tylko wciąż mają jednakową zabawę — w Niemców. I mówią, że moja strzelba jest do niczego, bo przecież to nie jest karabin maszynowy, którym można na raz zabić dużo ludzi. A ja wcale nie chcę się bawić w zabijanie. I dlatego się z nimi pokłóciłem.

KRYSTYNA: *(wyciera oczy chusteczką i przysuwa Martinka do siebie).* — Tak synku, dobrze zrobiłeś. Nie trzeba się bawić w zabijanie. Pamiętasz, jak mawiał zawsze tatuś? Mówił, że wszystko pragnie żyć i kwiatki i listki i motyle i zwierzęta i ludzie.

MARTINEK: Tak, mamo — i nie pozwalał mi nigdy łowić motyli w tę siatkę, którą dostałem. Wtedy płakałem, ale teraz to już wiem, że nie można

KRYSTYNA: *(do siebie)* — Twój ojciec był pacyfistą i chciał abyś poszedł jego śladem.

MARTINEK: Co to jest pacyfista? *(Krystyna milczy zamyślona).* Mamusiu!

KRYSTYNA: Pacyfista — to widzisz jest taki człowiek, który nie chce wojny, który kocha pokój. To jest człowiek taki jak twój ojciec, który każdego uważał za brata. I pisał o tym. Dlatego dzisiaj nie ma go tutaj razem z nami.

MARTINEK: *(poważniejąc)* — Mamusiu, a może tatuś jeszcze wróci? Przecież teraz wracają z obozów. Sam widziałem wczoraj trzech w takich ubraniach w paski. Idą gdzieś z Niemiec, czy skąd. Słyszałem jak Marysia o tym mówiła.

KRYSTYNA: Nie synku. Twój ojciec już nie wróci. Zawiadomienie było wyraźne i potem już więcej nie pisał. A przecież jeszcze w domu był wyczerpany i bardzo chory na serce.

MARTINEK: Nie wróci? — *(twarzyczka wykrzywia mu się od płaczu)* Ja wiem — Ja jestem już duży — *(przypada do matki).* Ale ja już nigdy nie będę łowił motyli — prawda mamo? Tak mu kiedyś przyrzekłem?

(Krystyna przygarnia Martinka do siebie, w tej chwili drzwi środkowe otwierają się, wchodzi brat Krystyny Jakub).

JAKUB: A cóż wy znowu robicie? Krystyno, Krystyno, zamiast zająć się czymś i nie myśleć, to i sama się męczysz i dzieciak się rozhisteryzuje.

KRYSTYNA: O, to nie jest histeria. Mylisz się, Jakubie. Martinku, idź poczytaj sobie tę książkę, którą ci dałam. Tę o zwierzętach, dobrze?

MARTINEK: Dobrze, mamo. *(wychodzi powoli).*

JAKUB: *(poważnie)* Wychowasz Martinka na niedołęgę. Nie da sobie rady w życiu. Przekonasz się jeszcze sama.

KRYSTYNA: Nie masz racji, Jakubie. Nie na niedołęgę go wychowam, lecz na człowieka. Dawanie sobie w życiu rady nie jest najważniejszą rzeczą. Najważniejsza jest uczciwość i dobroć. A gdyby wszystkie dzieci były takie jak on, wtedy wyrośli by z nich inni ludzie, to naprawdę nowe pokolenie, gdzie nie byłoby podziału na tych, co umieją „dać sobie radę" i na tych co tego nie umieją.

JAKUB: Tak, w tym wypadku przyznaję ci rację. Ale wiesz przecież sama, że to jest rzecz, która możliwa jest dopiero w dalekiej przyszłości, o ile w ogóle jest możliwa.

KRYSTYNA: Może — ale to nie może mieć wpływu na moje postanowienie zrobienia z Martinka uczciwego człowieka.

JAKUB: Tak, właściwie może i masz słuszność, ale — *(za sceną słychać gwar i okrzyki. Jakub zbliża się do okna).*

KRYSTYNA: Co się stało?

JAKUB: Ach, zapomniałem ci powiedzieć, kiedy przyszedłem. W którejś z piwnic w śródmieściu znaleziono kilku schowanych Niemców, ukrywających się do tej pory. Teraz ich prowadzą.

(Martinek przechodzi z drzwi po prawej do drzwi głównych i wychodzi. W ręce ma kolorową książkę).

KRYSTYNA: Sprawiedliwości stanie się zadość.

JAKUB: A tak. Ludzie ciągle jeszcze żyją w atmosferze wojny, chociaż stosunki zaczynają się powoli normalizować. I każdy taki *(wskazuje ręką na okno)* — jest tej wojny symbolem. To nie są już ludzie lecz przedstawiciele tego — co było. I jako tacy muszą ponieść odpowiedzialność.

KRYSTYNA: Tak. Myśmy może jeszcze najmniej ze wszystkich krajów poznali skutki tej wojny. Ale są kraje takie jak Polska, gdzie pozostały tylko gruzy. To, co ludzie budowali wysiłkiem twórczym przez wiele lat, poszło na marne. Czy dlatego, że „nie umieli sobie dawać rady?" to jest słuszne?

JAKUB: Masz rację. Prawo silniejszego powinno zostać wykreślone z niepisanych kodeksów świata. Ale do tego jeszcze daleko.

(Za sceną słychać rozmowę, potem głos Martinka — Tutaj, tutaj! — drzwi otwierają się, wbiega Martinek, za nim na progu staje dwóch więźniów z obozu. Martinek podbiega do matki)

MARTINEK: Mamusiu, ci panowie idą z obozu. Przyprowadziłem ich tutaj, bo pewnie są zmęczeni i głodni. Nie gniewasz się, mamusiu?

KRYSTYNA: *(wstaje bardzo blada)* Nie, dziecko. Nie mogłeś zrobić lepiej. Pozwólcie, panowie, proszę was całym sercem. Musicie być bardzo zmęczeni.

WIĘZIEŃ I: O tak, idziemy już długo, a droga przed nami też daleka.

KRYSTYNA: *(wyjmuje obrus, chleb, garnuszki)* Z daleka idziecie?

WIĘZIEŃ II: Byliśmy w Oświęcimiu, a stamtąd przepędzili nas daleko w głąb Niemiec, gdzie nas dopiero dogoniła ofensywa. Stamtąd idziemy i jedziemy, jak się zdarz

JAKUB: Jesteście Polakami, prawda?

WIĘZIEŃ I: Tak. Ja jestem z Warszawy, a mój towarzysz z Krakowa.

(Krystyna w międzyczasie przynosi mleko, zaprasza do jedzenia)

KRYSTYNA: Proszę, jedzcie, a potem będziecie opowiadać. Musicie przecież nabrać sił, których pewnie nie macie za wiele. Proste jest to, czym mogę was poczęstować, ale to tylko mamy. Nie lekko jest u nas jeszcze.

WIĘZIEŃ II: To nie jest najważniejsze. Najważniejsza jest wasza dobroć i chęć niesienia nam pomocy, z którą spotykamy się stale od momentu przekroczenia waszej granicy.

JAKUB: To przecież nie jest nic nadzwyczajnego. Zwykła ludzka rzecz.

WIĘZIEŃ I: Tak, to jest rzecz ludzka, ale nie jest tak zwykła, jakby się wydawało. Po tym, cośmy przeżyli tam — *(wskazuje przed siebie)* — zwątpiłem już, że są jeszcze ludzie, którzy właśnie po ludzku postępują. Zwątpiłem i nic w tym nie było dziwnego. Bo nie o ludzi tam chodziło. Były zwierzęta, które bito i zabijano i były zwierzęta, które zabijały. Jeśli był ktoś, kto chciał i tam nadal pozostać człowiekiem — temu ciężko było dotrwać.

WIĘZIEŃ II: Tak. Bywali i tacy. W naszym baraku, pamiętam, był taki Czech, nie wiem nawet skąd. Wierzył do końca w wartość człowieka i w możliwość poprawy. Do końca, kiedy zachorował, powtarzał nam: „pamiętajcie, że życie ludzkie jest najcenniejszą rzeczą i że kiedyś szacunek dla niego musi zatriumfować nad śmiercią". Miał szare, marzycielskie oczy, które ciemniały jak mówił: „ja jestem pacyfistą. Chcę budować, a nie burzyć".

KRYSTYNA: *(zrywa się nagle, z rozpaczą)* To on! To on tak zawsze mówił! *(rzuca się na krzesło i ukrywa twarz w dłoniach)*.

WIĘZIEŃ I: Co się stało?

JAKUB: *(chmurnie i poważnie)* — Tak, to on. To jej mąż.

(Wszyscy milkną, słuchać tylko urywane łkanie Krystyny. Martinek stoi nieruchomo, wpatrzony w matkę).

KRYSTYNA: *(opanowując się)* Przepraszam was. Tak. Poznałam, że to był Jaroslav. Mój mąż.

WIĘZIEŃ II: O ile pamiętam — miał na imię Jan. Był przedtem nauczycielem.

KRYSTYNA: Więc to nie on. Ale jak to możliwe? Te same słowa w ustach innego człowieka?

WIĘZIEŃ I: Tak. To chyba możliwe. Pani mąż nie był odosobniony w swojej idei pokoju. Takich ludzi było więcej. I może będzie coraz więcej.

KRYSTYNA: Musi być więcej. I będzie więcej.

(Martinek przytula się do niej)

JAKUB: Zaczynam wierzyć w możliwość lepszego jutra.

WIĘZIEŃ II: Tak. To jest słuszne. My wszyscy, którzy wracamy stamtąd, my, Polacy i wy — Czesi, którzy poznaliśmy cały ogrom zezwierzęcenia — musimy złączyć się we wspólnym wysiłku budowania nowej przyszłości.

KRYSTYNA: Macie rację. Dzisiaj stoją przed nami zadania, których nie pokonamy sami, oddzielnie. Tak jak wczoraj łączyło nas braterstwo cierpienia, tak dzisiaj musi nas połączyć braterstwo pracy. Cel mamy wspólny.

(Więźniowie wstają)

WIĘZIEŃ I: Musimy już iść. Chcemy jak najszybciej powrócić do naszego kraju. Trzeba go odbudować. Trzeba go uczynić lepszym i piękniejszym niż był. Trzeba na przeoranych tankami polach posiać nową miłość.

WIĘZIEŃ II: Dziękujemy wam za tyle serca starym, polskim „Bóg zapłać". I niech pani nie zapomina, ze ludzie nie umierają, dopóki w innych pozostają ich myśli i ich czyny.

KRYSTYNA: Tak. Zacznę teraz pracować. A moją poprowadzi dalej mój syn. Prawda, Martinku?

MARTINEK: *(poważnie)* Tak, mamusiu.

JAKUB: Żegnajcie, bracia. Mówię tak, bo braćmi istotnie jesteśmy. A braterstwo nasze trwalsze będzie od braterstwa wojny. Bo będzie to braterstwo pokoju.

WIĘZIEŃ I: Takie więzy są najtrwalsze.

KRYSTYNA: Idźcie i niech droga do waszej ojczyzny będzie jak najkrótsza i jak najprostsza. Żegnajcie!

WIĘŹNIOWIE: Żegnajcie! *(wychodzą wszyscy chwilę patrzą nieruchomo*

WIĘŹNIOWIE: Żegnajcie *(znikają za drzwiami)*.

K u r t y n a.

ADAM WIERUSZ

OBOWIĄZEK

Obrazek sceniczny w jednej odsłonie.

OSOBY:

PORUCZNIK,
WIĘZIEŃ,
MŁODA KOBIETA,
ŻOŁNIERZE.

Rzecz dzieje się z początkiem 1945 r.

(Jakakolwiek izba, zamieniona na biuro. Przy biurku siedzi porucznik, dwudziestokilkoletni, rosły, twarz zacięta. Przegląda papiery. Pukanie).

PORUCZNIK: Wejść.

ŻOŁNIERZ: *(wchodzi)* Melduję posłusznie, obywatelu poruczniku. Przyłapaliśmy takiego, o którym mówią, że ludzi zdawał...

PORUCZNIK: Wprowadzić.

ŻOŁNIERZ: Rozkaz! *(wychodzi, za chwilę wraca z drugim żołnierzem, prowadząc więźnia)* Możemy odejść?

PORUCZNIK: Tak. Czekać na korytarzu. Przesłucham.

(Żołnierze wychodzą)

WIĘZIEŃ: *(rówieśnik porucznika, zgarbiony, oczy biegają niespokojnie, nadrabia miną. Odzywa się pozornie swobodnie)*. Stefku... Przy żołnierzach nie chciałem... ale wiem, że mnie poznajesz...

PORUCZNIK: Poznałem cię.

WIĘZIEŃ: Pozwolisz, że usiądę.

PORUCZNIK: Siadaj.

WIĘZIEŃ: Dziękuję *(siada na przeciw porucznika. Chwila ciężkiego milczenia)*.

PORUCZNIK: Jak się czujesz?

WIĘZIEŃ: *(lekko)* Och, nienajgorzej. Jestem pod fałszywym zarzutem. Wytłómaczę ci wszystko i puścisz mnie.

PORUCZNIK: *(spokojnie)* Tak sądzisz?

WIĘZIEŃ: Jestem tego pewny.

PORUCZNIK: A co uczyniłeś z Martą?

WIĘZIEŃ: Jakto: co ja? Straciłem ją z oczu.

PORUCZNIK: Naprawdę?

WIĘZIEŃ: Wiem, z wszelką pewnością, że ją rozstrzelano w Birkenau.

PORUCZNIK: Przez ciebie.

WIĘZIEŃ: Żarty niestosowne...

PORUCZNIK: Daleki jestem od żartów.

WIĘZIEŃ: Ja również. Cóż — jest mi niewymownie przykro. Tak to wojna niszczy i zniwecza. No więc, Stefku. Spiszesz ze mną formalnie protokół i jestem wolny.

PORUCZNIK: Czy tak samo skwapliwie zaprzeczałeś w ciągu badania jak teraz żądasz uwolnienia?

WIĘZIEŃ: Widzę, że jesteś rozgoryczony. Zaraz ci wytłómaczę. Przyznaję. Jeszcze w Krakowie, w czasie śledztwa nie wytrwałem. Grzmocili mnie tak długo, gdzie popadło, aż przyznałem się do udziału w konspiracji. Ale sypnąłem tylko siebie. Podawałem fałszywe nazwiska, nieistniejące szyfry, nieważne miejscowości...

PORUCZNIK: I Gestapo uwierzyło?

WIĘZIEŃ: Widocznie miałem szczęście. No — gdy mnie wypuszczono, nie mogłem mieć z wami kontaktu. Byłem pod stałą obserwacją. Jak każdy wypuszczony.

PORUCZNIK: A cóż z Martą?

WIĘZIEŃ: Strasznie mi przykro. Padła ofiarą obowiązku. Ale sumienie mam czyste. Nie przyczyniłem się do jej nieszczęścia.

PORUCZNIK: A gdyby tak umarli wstawali z grobów i dawali świadectwo prawdzie żywych ludzi?

WIĘZIEŃ: Po cóż sięgać tak daleko. Wystarczy, że wiem...

PORUCZNIK: Nie wiem czy wiesz o jednym *(wyciąga z biurka kopertę)* Zeznania jednego z SS-manów. Pana Fryderyka Rappe. Ten pan był dżentelmenem w każdym calu i nigdy nie podniósł ręki na kobietę. Ale miał zaufaną dozorczynię, która wydobywała z ofiar zeznania, a sam chętnie się temu przyglądał.

WIĘZIEŃ: I co z tego?

PORUCZNIK: Nazwisko: Rappe, rzecz prosta nic ci nie mówi.

WIĘZIEŃ: No... to był ten, który i mnie przesłuchiwał.

PORUCZNIK: Właśnie. Otóż pan Rappe zeznaje, co następuje: Wielki kłopot był z przesłuchiwaną Martą Jasińską. Przypiekano jej podeszwy, bito kilka razy dziennie, kopano. Bez skutku. Natomiast nie wiele zachodu kosztowało nakłonienie do zeznań Jerzego Rwęskiego. Ten, po pierwszym biciu...

WIĘZIEŃ: Po co mi to przypominasz. Mimo wszystko wstyd mi.

PORUCZNIK: Jerzy Rwęski po pierwszym biciu wyjawił nazwiska wszystkich, należących do komórki czynnej z bronią w ręku.

WIĘZIEŃ: *(zrywa się)* To fałsz! Kłamstwo! Bezczelne kłamstwo! Ktoś mnie chce zgubić. Zeznania fałszywe. I ja mógłbym powiedzieć na pierwszego lepszego, że przez niego. Nie... Kto by wierzył SS-manowi...

PORUCZNIK: Tym bardziej nie żyjącemu.

WIĘZIEŃ: Rappe nie żyje... *(mimo woli odetchnął z ulgą)* Proszę. Naplótł, co chciał, a teraz bawi na drugim świecie.

PORUCZNIK: Przypuśćmy, że SS-owiec skłamał...

WIĘZIEŃ: Na pewno.

PORUCZNIK: Jakie masz dowody, że tak nie było?

WIĘZIEŃ: Otóż to... jakie... nie mam żadnych... tylko sprawa zaufania do mnie. Przecie nie robię z siebie bohatera. Ugiąłem się ale nie pociągnąłem za sobą nikogo. Ale, ale nie zapytałem cię, w jaki sposób ty odzyskałeś wolność?

PORUCZNIK: Mam to do zawdzięczenia jednemu Czechowi. Byliśmy razem w obozie No... Czesi trzymali fason. Ten mój towarzysz zdołał mnie ukryć we wozie ze śmieciami. Tym sposobem znalazłem się na wolności jeszcze w październiku.

WIĘZIEŃ: A ten Czech?

PORUCZNIK: Wojska sowieckie uwolniły go przed miesiącem. Przysłał mi wiadomość z Karlovych Varów. Porządny chłopak. Wróćmy jednak do ciebie.

WIĘZIEŃ: Wróć mi wolność, bo to na prawdę śmieszne, abym pozostawał pod zarzutem.

PORUCZNIK: Bardzo chętnie.

WIĘZIEŃ: *(rozjaśniony)* Dziękuję ci, Stefku. Byłem pewny *(chce mu uścisnąć dłoń)*.

PORUCZNIK: *(naciska dzwonek na biurku, w drzwiach staje żołnierz)* Poprosić moją żonę *(żołnierz wychodzi)*.

WIĘZIEŃ: Nie wiedziałem, że się ożeniłeś. Moje gratulacje. Co prawda...

PORUCZNIK: Uważasz, że nieco za szybko po stracie Marty.

WIĘZIEŃ: Bo wiesz.. gdyby zginęła w zwykłych okolicznościach... Ale zamęczona w Birkenau... Żal mi jej okropnie.

PORUCZNIK: Roztkliwiasz się, mój drogi. Ale to mówiąc ordynarnie: musztarda po obiedzie, czyli spóźnione żale.

WIĘZIEŃ. *(opiera łokcie na stole, zasłania twarz rękoma)*.

MŁODA KOBIETA: *(wchodząc)* Nie przeszkadzam ci w urzędo...

WIĘZIEŃ: *(usłyszawszy głos młodej kobiety, zrywa się na pół przytomny)* Co? Kto to? Co to znaczy?

PORUCZNIK: Jerzy jest przekonany, że umarli wstają z grobów, aby dać świadectwo prawdzie żyjących ludzi.

WIĘZIEŃ: Pani... Pani Marta. Zaraz. Muszę oprzytomnieć. Więc to nieprawda, że panią zamordowano w obozie.

PORUCZNIK: Najprawdziwsza nieprawda, o ile tak można powiedzieć. Jakże. Nie gratulujesz nam?

WIĘZIEŃ: Ależ tak. Oczywiście... Zechcą państwo przyjąć najserdeczniejsze... *(urywa, po chwili zmienionym głosem)* Nie mam prawa... Nie mam prawa cieszyć się waszym szczęściem.

PORUCZNIK: Tak sądzę.

MŁODA KOBIETA: Stefku... Może osądzamy go nadto surowo. Ostatecznie pan Jerzy jest słabym, ale nie złym człowiekiem.

WIĘZIEŃ: *(gorączkowo)* Słabym. Nigdy. Jestem złym. Bo słabość to zło. Zasługuję na najostrzejszą karę. Słuchajcie mnie. Teraz widzę, że nic się nie da ukryć. Byłem zawsze tchórzem. Jestem nim i chyba zostanę do końca życia. Kiedy, na początku okupacji zwróciliście się do mnie, abym pracował w konspiracji... wtedy nie miałem odwagi odmówić... z tchórzostwa, że mnie posądzicie o tchórzostwo. Potem... cały czas zamierałem ze strachu, że nakryją, że zdradzę. Chciałem się wycofać. Znowu brakło mi odwagi. Aż nareszcie... Klamka zapadła. Zaaresztowano mnie, przewieziono na Pomorską. Od razu kolbami po głowie. Bez pośpiechu. Systematycznie. Łeb mi pękał. Dusiłem się. Zacząłem skamleć o litość. A oni: wydaj. Nie chciałem. Rzucono mnie na podłogę, tratowano, kopano... Wtedy. No, tak. Podałem współpracujących. Panią, ciebie, Józka Szymka... Potem chciałem odwołać, nie wierzyli. A potem... kazali mi przychodzić co trzy dni na Pomorską... Żeby donosić o czymkolwiek podejrzanym. No i jak wiecie... Uciekłem na wieś. Zaszyłem się tam, gdzie diabeł dobranoc mówi. Nie miałem sił, aby z nimi walczyć. Na samą myśl, że wpadnę jeszcze raz w ich ręce, zamierałem z przerażenia.

MŁODA KOBIETA: Wiele jest winy w panu samym, ale i morał stąd wypływa niezmienny: nie wolno obciążać nadmiernie nikogo.

PORUCZNIK: Daruj, kochana, ale sprawa była jasna. Gdyby Jerzy z początku zaznaczył, że nie czuje się na siłach, aby sprostać naszym ogólnym zadaniom. A tak. Oto skutki... Szymek i Józek rozstrzelani... Ty ledwie przyszłaś do siebie... Jeszcze mnie się powiodło najgorzej dzięki czeskiemu towarzyszowi niedoli...

MŁODA KOBIETA: Więc cóż pan Jerzy ma począć z sobą?

PORUCZNIK: Raczej: co my z nim poczniemy. Powinien iść pod sąd.

WIĘZIEŃ: *(zawzięcie)* I pójdę. Teraz nie skamlę o litość. Dość mam tej ustawicznej trwogi. Tego usuwania się wszystkim z oczu. Zbłądziłem. Popełniłem zbrodnię. Odpokutuję...

MŁODA KOBIETA: *(zamyślona)* Właściwie tak się powinno stać.

PORUCZNIK: Może i powinno, lecz jaki tego końcowy efekt? Jedno życie więcej zmarnowane.

MŁODA KOBIETA: Skoro zmarnował egzystencję innych...

PORUCZNIK: Niechże przynajmniej własnym życiem przyniesie innym ulgę czy pomoc.

WIĘZIEŃ: Więc co mam począć? Wyłgać się bezkarnie z wszystkiego? Niechże odcierpię za to, czego się dopuściłem.

PORUCZNIK: Biorę na własne sumienie to, co przeprowadzę. Acha... sumienie... Widzisz. Ono nie da ci spokoju. Dopóki pracą nie zmażesz z siebie tej plamy, jaka przylgnęła do ciebie... Słuchajże uważnie i spokojnie. Jeśli pójdziesz do więzienia, na co w zupełności zasłużyłeś...

WIĘZIEŃ: Możecie mnie i powiesić... Co mi tam...

PORUCZNIK: Nie wypłataj idiotyzmów. Nie popełniłeś zbrodni z pełnym rozmysłem. Ale że słabość może być w działaniach zbrodnicza, odpokutujesz to pracą ciężką, odpowiedzialną, wymagającą odwagi i zimnej krwi.

WIĘZIEŃ: A czy się nadam do niej?

PORUCZNIK: Kiedy zgłaszaliśmy się do ciebie w czasie okupacji, miałeś prawo zastanawiać się nad tym. Teraz — nie wolno ci. Nie dorośniesz do powierzonego ci zadania — zginiesz. Nie muszę ci przypominać, że Niemcy myślą ustawicznie od odwecie. Że musimy liczyć się z tym nieprzerwanie. Że naszym psim obowiązkiem jest nie dać się zaskoczyć tak, jak niestety zdarzyło się to w roku 1939-tym. Całą swoją energię, przebiegłość i wytrwałość wytężysz w jednym kierunku. Będziesz czuwał na naszych Ziemiach Odzyskanych!

WIĘZIEŃ: *(waha się, chce coś powiedzieć)*.

MŁODA KOBIETA: *(z odcieniem żartobliwości)* Gdyby nie zanadto poważana sprawa, zauważyłabym, że raczej wybrałby pan więzienie niż tak niebezpieczną grę...

WIĘZIEŃ: Mówię bez żartów. Wolałbym. Ale tak musi być.

PORUCZNIK: Możesz odejść. Otrzymasz niebawem instrukcje, do kogo się zgłosić i kiedy.

WIĘZIEŃ: Dziękuję ci. *(skinął głową w stronę młodej kobiety i chce wyjść).*

PORUCZNIK: Nie pożegnasz się z nami?

WIĘZIEŃ: *(głucho)* Nie jestem godzien, aby mi podać rękę...

PORUCZNIK: Ale będziesz godny. Od ciebie to tylko zależy. *(podaje mu rękę).*

WIĘZIEŃ: Więc jako zaliczkę na przyszłość *(ściska rękę porucznika, całuje rękę młodej kobiety i powoli wychodzi).*

MŁODA KOBIETA: *(po odejściu więźnia)* Nie wiem czy sprosta swemu zadaniu...

PORUCZNIK: Musi. Inaczej... *(patrząc łagodnie na Młodą Kobietę)* Musi wytrwać, jak ty wytrwałaś, Marto.

K u r t y n a

KRONIKA ŚWIETLICOWA

Biblioteka Huty „Pokój"

Biblioteka Huty „Pokój" została otwarta 15 kwietnia 1946 r. Liczyła wtedy 100 tomów. Pierwszą bibliotekarką była ob. Sikora Teresa. Od tej daty zaczynają się dzieje historyczne naszej biblioteki. Ale ma ona i swoją prehistorię. Już w dniu otwarcia świetlicy 16 czerwca 1945 r. były tu 33 książki, przeważnie dary ofiarnych obywateli. Wypożyczanie tych tomów to jeden z punktów programu wieczorów świetlicowych. Zajmowała się tym ob. Kotowiczowa, która poza tym była duszą wszelkich prac kulturalno-oświatowych.

Od 16. VI. 1945 do 15. IV. 1946 przybyło więc 77 tomów. A potem, jak gdyby każda książka miała siłę magnetyczną, przyrost jest wprost proporcjonalny do książek, które już są. W kwietniu 1946 r. przybywa 65 książek, w maju już 108, w tej chwili I. III. 1947 mamy 1235 tomów.

142 tomy to książki naukowe, w tym specjalne uznanie zdobyły sobie 22 tomy Biblioteki Wiedzy.

Chlubę naszą stanowi biblioteczka podręczna, maleńka, ale przepiękna i wartościowa. Brucknera „Dzieje Kultury Polskiej", Bystronia „Dzieje obyczajów w dawnej Polsce", Wielka ilustrowana encyklopedia powszechna o 20 tomach, 8 wspaniałych tomów „Wiedzy o Polsce"; „Bogowie Słowian" Jakóbczyka. Z książek tych można korzystać tylko na miejscu.

Liczba czytelników rośnie podobnie jak liczba książek. W lipcu 1946 r. było ich 150. Obecnie jest ich 506, a przybywają z dniem każdym. Niepokojącym objawem był niski procent pracowników fizycznych. Na 506 abonentów jest ich tylko 153. Ale daje się już zauważyć zmianę na lepsze. W lutym przybyło 88 nowych czytelników, w tym 53 — to robotnicy. Dzienna frekwencja w wypożyczalni waha się od 60 do 90 osób. Wzrasta

(Dokończenie na str. 112)

HENRYK OBUCHOWICZ

„KOGUTEK" I „GAIK"

W drugi dzień świąt wielkanocnych był zwyczaj po wsiach na Mazowszu, a także i w innych dzielnicach Polski obchodzenia domów z t. zw. „kogutkiem". Młodzi wiejscy chłopcy takiego „kogutka" wyrabiali z ciasta, przystrajali kogucimi piórami z grzebykiem z czerwonego sukna, przytwierdzali do deszczułki na kółkach i wozili go po wsi od domu do domu, śpiewając odpowiednie pieśni za co od gospodarzy otrzymywali datki pieniężne lub podarunki zwane „Dyngusem".

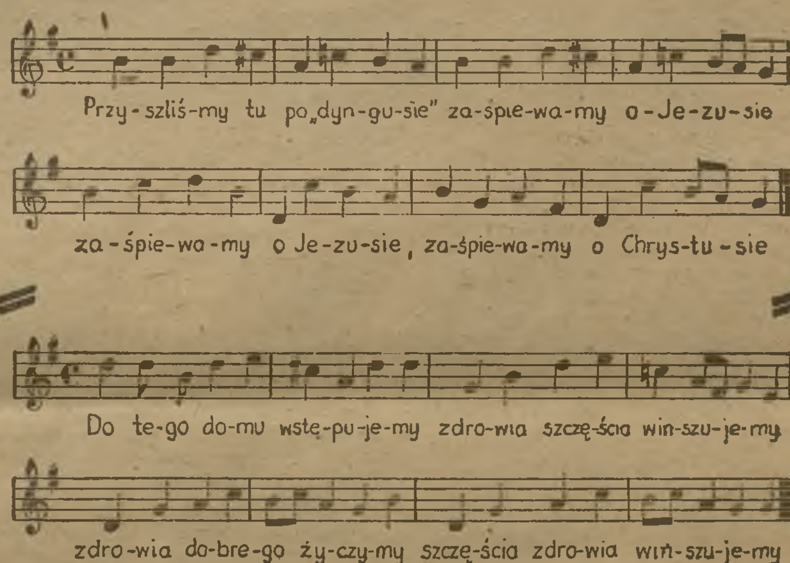
Po skończonym obchodzie „kogutka" oddawano jednemu z gospodarzy na przechowaniem do następnego roku.

Również w drugie święto Wielkiejnocy obchodzony był po wsiach inny zwyczaj zwany „gaikiem".

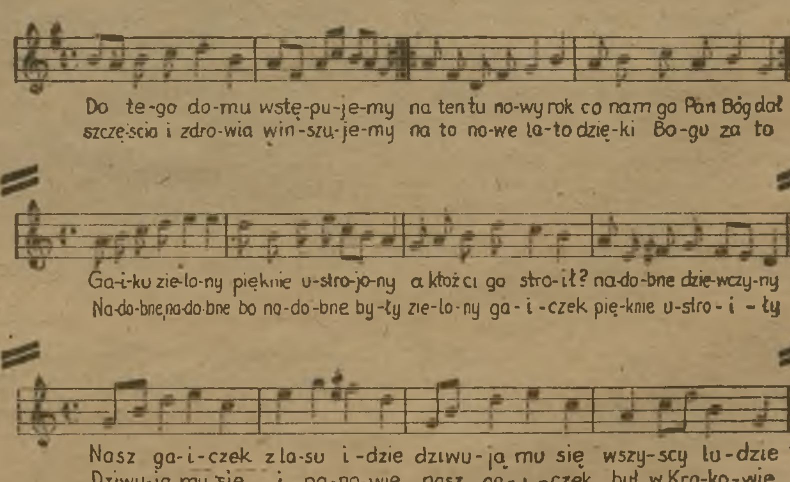
Gromadka dziewcząt i dzieci obchodziła domy swojej wsi, nie pomijając żadnego, pod przewodnictwem wybranej spośród siebie dziewczyny, która niosła pęk zielonych gałązek, przystrojony różnobarwnymi wstążkami, a zwany „gaikiem".

Przed każdym domem grono tych dziewcząt śpiewało, właściwą temu obchodowi pieśń, za co również datkami od gospodarzy bywało wynagradzane.

Piosenki chłopców chodzących z „kogutkiem":



Piosenki dziewcząt chodzących z „gaikiem":



„Społeczne Komitety Radiofonizacji Kraju to najszybsza droga do zradiofonizowania wsi miast, świetlic i szkół".

(Dokończenie ze str. 111)

stale W styczniu było tylko 40—60 osób Przeważa młodzież kobiety Nie znaczy to jednak, że mężczyźni mało czytają. Zajęci pracą nie przychodzą sami zmieniać książek wyręczają ich w tym żony i dzieci

Największą poczytnością wśród czytelników bardziej oczytanych cieszy się Fiedler i Meissner wśród początkujących Rodziewiczówna, Dołęga-Mostowicz Sienkiewicz. Prus — to właściwie monopol młodzieży szkolnej. Dopiero teraz w miarę wznawiania wydawnictw zakupujemy większą ilość egzemplarzy żeby mogli czytać i dorośli

Jeszcze w styczniu brano chętnie książki wojenne Żadna z nich nie stała ani jednego dnia na półce Rekordowe wprost powodzenie miały „Dymy nad Birkenau" Szmaglewskiej Gojawiczyńskiej „Krata" i Meissnera „L — jak Lucy" i „Żądło Genowefy".

Książki naukowe czytane są chętnie Bibliotekę Wiedzy trzeba już zamawiać i czekać nieraz na nią po parę tygodni w kolejce Podkreślam. że traktuje się książki naukowe na równi z powieściowymi. więc czytelnik wziąć może taką lub taką. nigdy dwóch jednocześnie

Co robimy żeby powiększyć liczbę czytających?

W grudniu zorganizowana była wystawa książki. Głośna gazetka huty podaje niemal co dzień komunikaty biblioteczne przypominając w ten sposób o istnieniu tej najważniejszej chyba placówki kulturalnej.

Ale najlepszy sposób to powiększanie księgozbioru

Od I. II. 1947 cała załoga huty, 10.000 osób stała się członkami świetlicy która otrzymuje teraz z dyrekcji subwencję w wysokości 20 zł miesięcznie od każdego członka. 30 000 zł otrzymuje z tego biblioteka na zakup książek. Aż serce rośnie, gdy widzi się w wyobraźni, jak przybywa nam tom za tomem, żeby za naszym pośrednictwem dostać się do rąk czytelnika i nieść mu orzeźwienie pociechę naukę

M. R.

WYDAWNICTWA NADESŁANE

„WIADOMOŚCI STATYSTYCZNE" Głównego Urzędu Statystycznego. Rok XX. Warszawa, 5 stycznia 1947 — zeszyt 1, 20 stycznia — zeszyt 2, 5 lutego — zeszyt 3.

EDWARD MARZEC — WNUCZEK ORZE. Poezje — Kraków 1947. Wyd. Zw Zaw Literatów Polskich Oddz. Wiejski.

„PORADNIK MUZYCZNY" — Miesięcznik poświęcony zagadnieniom upowszechnienia kultury muzycznej. Rok I. Łódź, marzec 1947. Wydaje: Ludowy Instytut Muzyczny Redaktor, mgr Stanisław Golachowski

„CZASOPISMO OGRODNICZE" Miesięcznik. Rok II nr 1 (8) Styczeń 1947 r Organ Związku Rewizyjnego Spółdzielni R. P. i Centrali Gospodarczej Spółdzielni Ogrodniczych R. P. Redaguje Komitet

KĄCIK SZACHOWY

W partiach gambitowych inicjatywa należy zawsze do białych t. zn. białe podstawiają do bicia najczęściej piona, ażeby sforsować atak. Jeżeli natomiast rzecz się ma odwrotnie i czarne spróbują zastosować gambit bez uprzedniej inicjatywy białych to taką obronę zaliczymy również do początków nieprawidłowych, na których oczywiście ten, kto je ryzykuje, źle wychodzi. — Partia poniższa obrazuje nam właśnie taką przegraną czarnych, które odważyły się na nieprawidłowy początek

GAMBIT W OBRONIE

Białe — Mortimer. — Czarne — Pallock

1. e2—e4 1... e7—e5
2. Sg1—f3 2... f7—f5
3. d2—d4 3... f5×e4

Ponieważ białe gambitu nie przyjęły, czarne same chcą wytworzyć pozycję gambitową — czym sobie bardzo szkodzą.

4. Sf3×e5 4.. Sg8—f6
5. Se5—g4 5.. d7—d5
6. Sg4×f6+ 6.. Dd8×f6
7. Dd1—h5+ 7.. Df6—f7

Czarne muszą bronić piona d5, co białe wykorzystują, psując im roszadę.

8. Dh5×f7+ 8... Ke8×f7
9. Gc1—f4 9... c7—c6
10. Sb1—d2 10... Gc8—f5
11. 0—0—0 11... Sb8—d7
12. Gf1—e2 12... c6—c5
13. Gf4—e3 13.. Wa8—c8?

Ten kontratak czarnych na skrzydle króla zupełnie się nie udał.

14. Sd2—f1! Oto białe wprowadzając tym ruchem skoczka na e3, zdobywają silną atakującą pozycję, podczas kiedy czarne marnują tylko ruchy, sądząc, że „coś zrobią"

14... e5×d4
15. Ge3×d4 15. Gf8—c5
16.. Sf1—e3 16 ..Gf5—e6
17. Gd4×c5 17... Sd7×c5
18. Se3×d5 18. Sc5—a4
19. Sd5—f4 19.. Ge6×a2?

Czarne wciąż łudzą się, że „atakują".

20. Wd1—d7+ 20... Kf7—f6
21 Sf4—h5+ 21... Kf5—g6
22. Wh1—d1 22... Wc8—c6
23. Wd7×g7+ 23... Kg6—h6
24. g2—g4 24.. Wc6—g6
25. h2—h4 25... Wg6×g7

Czarne „zdobyły" figurę i przegrały!

26. Wd1—d6+ 26.. Wg7—g6
27. g4—g5+ i mat.

„PRZEWODNIK LITERACKI I NAUKOWY" Kwartalnik. Rok III. Nr 1—2 Warszawa, grudzień 1946. Wydaje: Wydział Książki i Czytelnictwa — Ludowego Instytutu Oświaty i Kultury. Redaktor Naczelny: Wanda Dąbrowska.

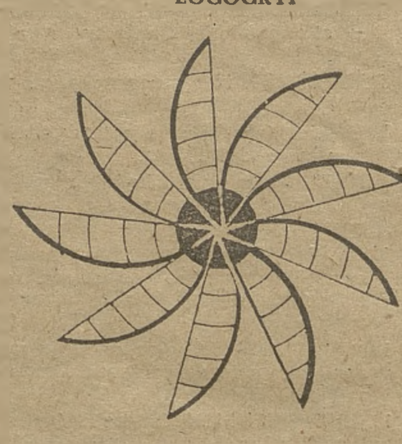
„PORADNIK PRACOWNIKA SPOŁECZNEGO" Dwutygodnik Nr 4—5. Warszawa 15 marca 1947. Redaktor Naczelny: mgr E. Słuczański. Wydawca: Ministerstwo Informacji i Propagandy.

Zawiadamiamy, że „Gry towarzyskie i zespołowe w świetlicy" M. Mikuły zostały już w redakcji naszej wyczerpane.

Redakcja przypomina, że zbliża się termin wpłaty na drugi kwartał. Prenumerata kwartalna wynosi 55 zł za jeden numer.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

LOGOGRYF



Pięcioliterowe wyrazy o podanym znaczeniu wpisać w pola rozety w kierunku dośrodkowym; początkowe litery dadzą aktualne rozwiązanie. Wszystkie wyrazy kończą się jednakową literą.

Znaczenie wyrazów: 1) rzeka w Polsce, 2) imię żeńskie, 3) rodzaj futrzanego szala, 4) kraj w Afryce, 5) papier do kopiowania, 6) droga wysadzana drzewami, 7) krem do rąk, 8) tłuszcz, 9) znamię, właściwość.

ZAGADKA

Mówią, że **to wielki pan,**
gdy wspak przeczytamy —
nazwę ryby otrzymamy

ROZWIĄZANIE Z N-RU 5

ARYTMOGRYF

Kto się po świecie włóczy —
wielu się rzeczy nauczy.
Naruszewicz.

Wyrazy pomocnicze: 1) kłótnia, 2) przywara, 3) święto, 4) tłuszcz, 5) lep.

REAKCJONIŚCI NA WYCIECZCE



— Ten rząd nic nie zrobił dla turystów. Popatrz: ten sam krajobraz co zeszłego roku!

Organ Wojew. Domu Kultury w Krakowie Redaguje zespół Adres redakcji: Kraków 1 Maja 1, II. piętro telefon 565 58

Drukarnia 1, pod Zarządem Państwowym, Kraków, Wielopole 1. M—19703